Myśl Polska

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ŻYCIU I KULTURZE NARODU
POLISH THOUGHT—MONTHLY REVIEW

Nr 119 (Rok VIII, Nr 2) Luty, 1948 Cena (Price) 2/-

EUROPA JEST CAŁOŚCIĄ

OD DNIA 8 stycznia odbywają się w Waszyngtonie przesłuchania przed komitetami Senatu i Izby Reprezentantów w sprawie planu Marshalla, który otrzymał obecnie oficjalną nazwę *Programu Odbudowy Europejskiej*.

Marshall przypomniał słuchaczom, że cyfra 6, 8 miliardów dolarów przewidzianych na 15 najbliższych miesięcy równa się zaledwie wydatkom Ameryki z jednego miesiąca ostatniej wojny. Tym zaś, którzy chcieliby zmniejszyć tę sumę, bądź odroczyć termin wejścia w życie samego planu z kwietnia do lipca, rzucił ostrzeżenie: "Musimy zadecydować, czy Stany Zjednoczone są zdolne i gotowe pomóc w odbudowie Europy zachodniej, lub przyjąć konsekwencje podporządkowania jej dyktaturze państw policyjnych". Oświadczenia innych ministrów i wysokich urzędników miały niemniej dramatyczny akcent. Potwierdziły one raz jeszcze, że istnienie wolnej Europy, a raczej natychmiastowe podtrzymanie wolności już tylko zachodniej jej połowy, zostało uznane za ważny narodowy interes amerykański.

W tym samym kierunku, lecz jeszcze wyraźniej pod względem politycznym, zaangażowała się polityka oficjalna brytyjska.

Członkowie rządu, a w szczególności min. Bevin, wypowiedzieli się za zjednoczeniem politycznym Europy zachodniej, ujętym w stałe formy.

Aktywne zaangażowanie się polityki Stanów Zjednoczonych w Europie, choć dzisiaj obejmuje ono tylko zachodnią i południową jej część, będzie miało pierwszorzędne znaczenie dla dalszego rozwoju sytuacji międzynarodowej. Nie może też ono pozostać bez wpływu na kształtowanie się losów naszej walki o odbudowę niepodległego państwa polskiego.

Mylny jednak byłby pogląd, że sama pomoc gospodarcza udzielona choćby najbardziej hojnie przez Amerykę, może rozwiązać problem europejski, bądź nawet zabezpieczyć na dłuższą metę same kraje zachodnio-europejskie.

Polityka amerykańska i brytyjska, a więc i plan Marshalla, który jest jej wyrazem, opiera się na założeniu, że wystarczy odbudować gospodarczo Europę zachodnią, że w wyniku odbudowy gospodarczej nastąpi stabilizacja polityczna w krajach zachodnio-europejskich i że w ten sposób będą one uodpornione na wszelkie akcje odśrodkowe organizowane przez siły komunistyczne. W konsekwencji staną się one magnesem przyciągającym i wyciągającym pozostałe kraje europejskie z orbity Związku sowieckiego, a być może sama Rosja sowiecka ulegnie sile atrakcyjnej Zachodu, porzuci komunizm i przyjmie prawdziwą demokrację. W rozumowaniu tym tkwi szereg błędów, z których dwa są szczególnie rażące.

Pierwszy z nich polega na zapoznaniu faktu, że trwała odbudowa gospodarcza Europy zachodniej jest ściśle związana z uzupełniającym ją obszarem Europy środkowej i południowo-wschodniej. O organiczności tego powiązania nie zapomnieli eksperci 16 narodów europejskich w Paryżu. Jako podstawę przy obliczaniu potrzeb i kosztów odbudowy swoich krajów przyjęli założenie, że stosunki handlowe z krajami zony sowieckiej nie tylko będą możliwe, ale ulegną rozszerzeniu. Jako ekonomiści zdawali sobie sprawę, że ogólna suma potrzeb przy braku tych stosunków byłaby tak olbrzymia, iż Kongres amerykański z góry by ją odrzucił. Tymczasem doświadczenie historyczne i doktryna państwa sowieckiego zadają kłam tym nadziejom. Na dzisiaj Moskwa może zezwalać jeszcze swoim satelitom na ograniczoną wymianę towarową z krajami kapitalistycznymi — zezwalać im jednak będzie do czasu, kiedy staną się dojrzałe do całkowitej integracji w system ekonomiczny sowiecki. A system ten z natury swojej jest systemem zamkniętym. W naszym przekonaniu nie ma żadnych realnych podstaw do tego, by sądzić, że kraje strefy sowieckiej będą mogły dobrowolnie opuścić blok, do którego zostały wtłoczone. Byłoby to sprzeczne z zasadniczymi celami polityki sowieckiej oraz koncepcją struktury gospodarczej i społecznej Związku sowieckiego. Jeśli o Europę zachodnią chodzi, wynika stąd, że pozbawiona swego naturalnego zaplecza surowcowego i rynków zbytu w Europie środkowej, potrzebować będzie stałych subwencji amerykańskich. Dlatego plan Marshalla może przynieść przejściowe ożywienie gospodarcze w krajach zachodnio-europejskich, natomiast nie zapewni im trwałych podstaw rozwoju.

Drugi błąd w założeniach obecnej polityki mocarstw zachodnich polega na niedocenianiu środków, którymi dysponuje Związek sowiecki w rozgrywce o Europę. Ustabilizowawszy swoje bazy wypadowe w samym środku kontynentu nie przestanie on kłaść złowróżbnego cienia aż po brzegi Atlantyku. Rzucając na szalę zdyscyplinowane szeregi partii komunistycznych, Moskwa może nie tylko przeszkodzić pełnej realizacji planu Marshalla, ale może go nawet udaremnić. Przykłady Francji, Włoch i Grecji powinny być dostatecznie pouczające. A nie słyszeliśmy jeszcze ostatnich wybuchów w kotle, jakim są dzisiejsze Niemcy.

W walce o Europę tylko Stalin ma jak dotąd sformułowany program polityczny. Celem jego programu jest zjednoczona Europa sowiecka. Mając program, znajduje również środki do jego realizacji. Po stronie mocarstw zachodnich nie widać na razie choćby zarysów prawdziwej polityki europejskiej. Ogólny sentyment dla zjednoczonej Europy w Waszyngtonie i Londynie nie może zastąpić programu. Nie jest nim również Program Odbudowy Europejskiej.

BILANS ROKU 1947

O życiu politycznym Kraju większe pojęcie od oficjalnych wydarzeń daje kronika sądów wyjątkowych. Zestawienie opublikowanych przez prasę krajową procesów o charakterze politycznym zastąpić może przegląd wydarzeń krajowych za rok 1947. Poniżej podajemy suche zestawienie dat i nazwisk za ubiegły rok. Nie jest to całość, lecz tylko najważniejsze procesy, które były opublikowane przez prasę reżimową. Za prasą tą powtarzamy również kwalifikacje oskarżenia.

10 stycznia wojskowy sąd rejonowy w Warszawie skazał na karę śmierci Ksawerego Grocholskiego, Waldemara Baczaka i Witolda Kalickiego za "dostarczanie materiałów szpiegowskich ambasadorowi jednego z państw

obcych". W tymże procesie skazano Krystynę Kosiorek na 10 lat więzienia.

4 stycznia wojskowy sąd rejonowy w Warszawie skazał na karę śmierci N. Gołębiowskiego, na karę 12 lat więzienia H. Żuka i inż. Leskiego, na karę 10 lat J. Rybickiego i M. Muzyczkę, na 8 lat J. Rzepeckiego, na 7 lat J. Szczurka, na 6 lat A. Sanojcę, na 4 lata T. Jachimka, na 2 lata J. Malesę — wszystkich oskarżonych o przynależność do "nielegalnej organizacji WIN". Rzepecki, Szczurek, Sanojca i Malesa zostali następnie ułaskawieni.

Tenże sąd skazał 9 lipca na 13 lat więzienia S. Karolkiewicza, na 10 lat C. Atminisa, na 9 lat Barbarę Sadowską, na 8 lat J. Łozickiego, na 7 lat B. Zieleniewskiego, na 6 lat S. Jakubisiaka, F. Pacyńskiego, L. Dunina, Helenę Dunin, na 5 lat M. Błaszkiewicza, na 4 lata H. Waszczuka, J. Sternin-Matusewicza, na 3 lata K. Freitaga — oskarżonych o organizację wywiadowczą pod nazwą "Liceum".

13 lipca sąd wojskowy w Katowicach skazał na 4 lata więzienia 5 studentów politechniki śląskiej "winnych działalności antypaństwowej w ramach nielegalnej organizacji młodzieżowej Młodzież Wszechpolska, wywodzącej się z przedwojennych bojówek faszystowskich Stronnictwa Narodowego".

23 lipca sąd wojskowy sąd rejonowy w Łodzi skazał na kary więzienia od 3 do 10 lat adwokata Witolda Kotowskiego, Kazimierza Bryńskiego, Antoniego Belkę, Józefa Dębowskiego i Józefa Melkę — oskarżonych o utworzenie "nielegalnego Stronnictwa Narodowego".

25 lipca sąd wojskowy w Krakowie skazał na kary śmierci i więzienia 12 członków oddziału partyzanckiego NSZ "Ogień".

24 lipca sąd wojskowy w Warszawie skazał na 12 lat więzienia dr Zofię Franio, na 10 lat Bolesława Gałaja i Danutę Bańkowską, na 7 lat Janinę Warszycką i Marię Wędrychowską, na 5 lat Stanisławę Sieńko, na 5 lat Janinę Sawicką — oskarżonych "o działalność nielegalną w organizacji WIN i WRN i współudział w szpiegostwie".

W pierwszych dniach sierpnia odbył się szereg procesów o rozsiewanie niepokojących wiadomości. W Bydgoszczy skazano 7 osób, w Łodzi 1 osobę na 6 lat więzienia, w Olsztynie na 2 lata więzienia też 1 osobę, w Wyszkowie burmistrza i 2 radnych.

4 sierpnia wojskowy sąd rejonowy w Warszawie skazał na 15 lat więzienia Zygmunta Augustyńskiego, na 10 lat ks. Leona Pawlinę, na karę śmierci Zygmunta Maciejkę — oskarżonych o "utrzymywanie kontaktów z działaczami WIN i WRN" oraz o "gromadzenie wiadomości i przekazywanie ich . . . za granicę, a z drugiej strony St. Mikołajczykowi".

11 sierpnia sąd wojskowy w Krakowie skazał na karę śmierci Niepokulczyckiego, Kaczmarczyka, Ostafina, Strzałkowskiego, Ralskiego, Kota, Langnera i Tumanowicza, na karę dożywotniego więzienia Kowalskiego, na 15 lat więzienia Buczka i Muncha, na 12 lat Wilczyńskiego, na 10 lat Stalmacha, Mierzwę i Stefana Ralskiego, na 6 lat Kabata — oskarżonych o "kierownictwo organizacji szpiegowskiej pod nazwą Izba Kontroli i przekazywanie wiadomości z jednej strony kierownictwu PSL, a z drugiej wrogim Polsce ośrodkom zagranicznym".

Wojskowy sąd rejonowy w Poznaniu skazał 13 sierpnia na 10 lat więzienia adwokata Tadeusza Musiała, na 4 lata adwokata Mieczkowskiego, na 3 lata adwokata Jana Zwierzyńskiego, na 5 lat Stanisława Jeszke — oskarżonych o organizowanie "nielegalnego Stronnictwa Narodowego, mającego na celu obalenie przemocą demokratycznego ustroju państwa polskiego".

16 sierpnia wojskowy sąd rejonowy w Katowicach skazał Józefa Melanowskiego, Kazimierza Noska i Stefana Kaleszę na 15 lat więzienia, Irenę Nicman na 10 lat i Irenę Białkowską na 3 lata oskarżonych o "antypaństwową działalność w ramach nielegalnej organizacji WIN".

22 sierpnia sąd wojskowy w Warszawie skazał dziennikarza Jerzego Kawińskiego oskarżonego o "przynależność do nielegalnej organizacji WIN".

10 września sąd wojskowy w Kielcach skazał Józefa Dąbkowskiego na 5 lat więzienia, Tadeusza Tomzę na 5 lat, Tomasza Tytko na 3 lata i Józefa Juszczyka na 2 lata, oskarżonych o przechowywanie broni i związek z PSL.

2 października po 5-tygodniowej rozprawie sąd wojskowy w Warszawie skazał na karę śmierci z zamianą na 15 lat więzienia z mocy amnestii Zbigniewa Nowosada i Stanisława Zielińskiego, na 10 lat więzienia Kazimierza Próchnika, Władysława Tarnawskiego i Stanisława Nowotyńskiego, na 7 lat Ewę Górkę i na 6 lat Józefa Zielińskiego — oskarżonych o udział "w organizacji nielegalnej pod nazwą Komitet Ziem Wschodnich — organizacja ta była przybudówką Stronnictwa Narodowego i działała na rzecz b. rządu londyńskiego . . . dążenie do zmiany historii Polski oraz rozbicia sojuszu polsko-radzieckiego".

10 października wojskowy sąd rejonowy w Bydgoszczy skazał na 10 lat więzienia Kwiatkowskiego i Różańskiego, na 7 lat Wiśniewskiego, na 6 lat Dąbrowskiego — oskarżonych o udział w organizacji "Ruch Oporu AK".

Tegoż dnia w Krakowie skazano na 15 lat więzienia Ostachowskiego, oskarżonego o przynależność do NSZ.

18 października w Lublinie sąd wojskowy skazał na śmierć Matenkę i Krzymowskiego za przynależność do WIN.

Tegoż dnia w Warszawie skazano Przybytniewskiego, Filipiaka i Dygasa za przynależność do Narodowego Zjednoczenia Wojskowego.

25 października w Krakowie skazano na śmierć Józefa Dydę za przynależność do NSZ.

Tegoż dnia w Łodzi skazani zostali na śmierć M. Martyniak i St. Brzeziński, na 15 lat więzienia M. Długołęski i na 10 lat J. Wiszniewski — za przynależność do nienazwanej organizacji podziemnej.

31 października skazano w Szczecinie na dożywotnie więzienie b. żołnierza 2 Korpusu Rasza pod zarzutem szpiegostwa.

10 listopada skazano w Krakowie na śmierć braci Franciszka i Stanisława Boduchów, a na dożywotnie więzienie W. Boducha i P. Woźnego za działalność partyzancką. Wszyscy byli niepełnoletni.

Tegoż dnia w Warszawie skazano na 8 lat więzienia J. Bartkowskiego oskarżonego o udział w "Ruchu Oporu AK".

24 listopada w Szczecinie skazano na śmierć Bredowa, a na więzienie 6 innych pod zarzutem pracy dla "wywiadu Andersa".

26 listopada w Katowicach skazano na dożywotnie więzienie H. Płocicę, na 7 lat więzienia B. Strzempka i J. Wieczorka, a na 5 lat więzienia M. Markowską — oskarżonych o działanie w grupie "Zemsta" NSZ.

28 listopada w Warszawie wojskowy sąd rejonowy skazał na śmierć Włodzimierza Bilana i Jana Stępienia, na 8 lat więzienia Jana Korneckiego i na 5 lat Franciszka Kąckiego — oskarżonych o to, iż byli "działaczami konspiracyjnego Stronnictwa Narodowego" i organizowali "ekspozyturę rządu londyńskiego".

22 grudnia we Wrocławiu skazano na śmierć M. Niewiadomskiego, na dożywotnie więzienie M. Noworola, na 14 lat M. Liberta i I. Kwietniewskiego, na 7 lat J. Jankowskiego i na 3 lata R. Turkowskiego, uczniów gimnazjalnych oskarżonych o przynależność do NSZ.

27 grudnia sąd wojskowy w Warszawie skazał na śmierć W. Lipińskiego i Wł. Marszewskiego, na dożywotnie więzienie K. Sosnowską, W. Kwiecińskiego i S. Sędziaka, na 15 lat A. Obarskiego i na 12 lat M.Marynowską — oskarżonych o utworzenie "Komitetu Porozumiewawczego Polskich Stronnictw Politycznych" oraz o działalność w myśl "szkodliwej dla państwa koncepcji politycznej piłsudczyzny i dmowszczyzny".

30 grudnia sąd wojskowy w Krakowie skazał na śmierć Wł. Pilcha, A. Stogę i J. Paterę, na dożywotnie więzienie Wł. Barana i J. Bujaka, a na 10 lat J. Ptasińskiego — za działalność w "grupie Szarego" Narodowej Organizacji Wojskowej.

W powyższym wykazie podajemy tylko procesy ogłaszane w prasie krajowej. Pomijamy wszystkie procesy, których charakter polityczny nie jest całkiem pewny, a m.in. kilkadziesiąt procesów o nielegalne posiadanie broni i kilkadziesiąt procesów o rozsiewanie szkodliwych plotek.

PRZEMIANY WEWNĘTRZNE W SOWIETACH

Dużym echem na Zachodzie odbiła się zarządzona w Sowietach reforma walutowa, polegająca w głównej mierze na wypuszczeniu nowego rubla wymienianego w stosunku 1 za lo za stare ruble. Komentarze prasy anglosaskiej, zwłaszcza amerykańskiej, wydają się raczej powierzchowne. Reforma ta łączy się z jednej strony z zagadnieniem nowego planu pięcioletniego, z drugiej zaś z wprzęgnięciem do ekonomii sowieckiej obszaru Europy Środkowo-Wschodniej. Wielkie te zagadnienia zasługują na obszerniejsze omówienie i zamierzamy do nich w niedługim czasie na łamach naszego pisma powrócić, by naświetlić je od strony ekonomicznej. W tej chwili ograniczymy się do pewnych uwag natury ściśle politycznej.

Przewartościowanie waluty sowieckiej, obok doraźnego celu zwalczenia spekulacji i nieporządku miało także cel społeczno-polityczny. Stoi ono w jednym rzędzie z zeszłoroczną czystką w literaturze i z ostatnim wznowieniem akcji bezbożniczej. Wojna wymagała uruchomienia i wydobycia wszystkich sił patriotycznych z narodu rosyjskiego. Wprowadziła ona nieuniknione przewartościowanie, niebezpieczne dla partii komunistycznej, a także wysunęła na pierwszy plan życia sowieckiego element wojskowy. Z chwilą zakończenia wojny kompartia postanowiła zapobiec grożącym niebezpieczeństwom. Zdemoralizowanych na Zachodzie żołnierzy skierowano do obozów reedukacyjnych na Sybirze, zbyt patriotycznych a za mało marksistowskich pisarzy postawiono poza nawias społeczeństwa i wrócono do propagandy bezbożniczej. Wojna wszakże zaakcentowała przejawiającą się już dawniej tendencję do wytworzenia się w Sowietach nowej warstwy średniej charakteru inteligencko-urzędniczego. Warstwa ta w czasie wojny potworzyła sobie pewne oszczędności. Przewartościowanie rubla bije formalnie tylko w spekulantów, w rzeczywistości zaś pod miano spekulanta kwalifikuje się wszystko, co mogłoby grozić przerodzeniem się w nowe mieszczaństwo.

Równocześnie ze zmianą waluty wprowadzono zniesienie powszechnego systemu kartkowego. Upodabnia to Sowiety do państw wasalnych Europy Środkowej i zmniejsza rażącą różnicę między tymi krajami a Rosją. Rzecz ciekawa, że równocześnie z reformami gospodarczymi dokonano także w podobnym kierunku idącej reformy administracyjnej. Podzielono mianowicie dawny komisariat spraw wewnętrznych na 2 ministerstwa: spraw wewnętrznych i bezpieczeństwa publicznego — systemem wypróbowanym w pań-

stwach satelickich. I tu więc występuje tendencja upodobnienia ustroju republik sowieckich do podporządkowanych im "republik ludowych". Tendencja ta zbiega się z upodobnianiem "republik ludowych" do wzoru sowieckiego.

Przemiany ekonomiczne i administracyjne w Sowietach dotyczą tylko dostosowania raczej drugorzędnych zjawisk do zmiennych wymogów czasu. Istota ustroju sowieckiego pozostaje bez zmian. Przypomina nam o tym odbyty świeżo uroczyście jubileusz, a mianowicie obchód trzydziestolecia istnienia sowieckiej policji politycznej. Trzydzieści lat temu Dzierżyński utworzył tzw. "nadzwyczajną komisję do walki z kontrrewolucją i sabotażem" słynną Czekę. Po kilku latach nazwę jej zmieniono na "główny urząd polityczny" (GPU), następnie zaś na "ludowy komisariat spraw wewnętrznych" (NKWD). Obecna nazwa brzmi: "ministerstwo bezpieczeństwa państwowego" (MGB).

Zmiany nazw Czeki nie zmieniają jej istoty, nie zmieniają również faktu, że jest ona głównym filarem ustroju sowieckiego. Istnienie podporządkowanych MGB i na niej wzorowanych policji politycznych stanowi też istotę ustrojów "wschodniej demokracji" i wyróżnia kraje poddane okupacji sowieckiej od krajów niepodległych.

VOLK OHNE RAUM ?

Propaganda niemiecka powraca na stare tory hitlerowskie i usiłuje tłumaczyć światu, że zabranie Niemcom ziem za Odrą robi z nich "naród bez przestrzeni", niezdolny do utrzymania się. Z tego rodzaju argumentacją rozprawia się w sposób bardzo interesujący p. Wojciech Zaleski we frankfurckiej *Kronice :*

"Przed wojną na terenie Niemiec w obecnych granicach mieszkało 59,7 milionów ludności, obecnie mieszka 65,9 milionów, a więc mówi się, że jest przeludnienie. Przypatrzmy się temu zagadnieniu nieco dokładniej. Obecnie w Niemczech stosunek mężczyzn do kobiet wynosi 100:125. W chwili wybuchu wojny w generacji młodszej, do 36 lat życia, istniała nieznaczna przewaga mężczyzn, w kategorii 36-46 lat pewna przewaga kobiet (skutki pierwszej wojny światowej), w sumie w tych kategoriach wieku istniała równowaga. W przeliczeniu na rok 1948 oznacza to równowagę w granicach wieku do 55 lat, odpowiadających normalnie blisko 90% ludności. Zatem cała niemal nadwyżka kobiet, jaka istnieje obecnie, jest wynikiem wojny. Brakuje mężczyzn w wieku 20-50 lat, czyli ojców rodzin. Jest to generacja, która walczyła w czasie ostatniej wojny i została zdziesiątkowana.

Obecna ludność Niemiec wynosi 65,9 milionów, a nadwyżka kobiet 6,6 milionów. Ta nadwyżka kobiet znaczy to samo co brak mężczyzn. Normalnie w kategorii wieku 20-50 lat, czyli w kategorii ojców rodzin, powinno być w Niemczech około 13 milionów mężczyzn, a z tego brakuje 6,6 milionów, czyli połowa.

Napływ robotników z rolniczego wschodu na zachód, przede wszystkim do Zagłębia Ruhry, jest w Niemczech zjawiskiem stałym, trwającym już od 80 lat. Obecnie do tego stałego i naturalnego dążenia dołączyły się skutki wojny, to znaczy strat w ludności robotniczej na zachodzie. Jest faktem, że dziś, mimo napłynięcia wysiedlonych z Polski i Czech, przemysł niemiecki odczuwa brak robotników. Po dokonaniu reformy walutowej i realizacji planu Marshalla zwiększy się on jeszcze. Gdyby ktokolwiek myślał na serio, a nie z punktu widzenia taktyki politycznej, o odbieraniu Polsce ziem odzyskanych, powinien także zastanowić się nad tym, kto ma właściwie te ziemie uprawiać — bo Niemcy nie mają i nie będą mieli ludzi, którzy by to mogli zrobić".

ZA "ŻELAZNĄ KURTYNĄ"

W odpowiedzi na tzw. Plan Marshalla, którego celem mają być scalenie oraz odbudowa gospodarcza zachodniej Europy, polityka sowiecka podjęła energiczną akcję we wschodniej Europie, aby przez oderwanie jej od reszty Europy utrudnić zamysły zmerykańskie. Kraje wschodnio-europejskie, jak Polska, Czechosłowacja, Węgry oraz Rumania, pomimo ich wasalizacji przez Rosję, nie tylko politycznej, ale i gospodarczej, nie przestały uczestniczyć w życiu ekonomicznym całej Europy i zwłaszcza dwa pierwsze z tych krajów mogły w ciągu ostatniego roku rozwinąć swoje stosunki handlowe z Zachodem. Działo się to za zgodą Rosji, która sama odbudowując własne gospodarstwo, nie mogła podrywać wszystkie palące potrzeby krajów satelickich, nie chciała zaś utrudniać rządom komunistycznym ich zadań, w sposób wyraźny rujnując życie ekonomiczne ich krajów.

Teraz zapowiada się zmiana w tej polityce względnej swobody handlu zagranicznego krajów środkowo-wschodniej Europy. Wydaje się, że Rosja odgrzebała plan ekonomiczny wypracowywany przez polityków środkowo i wschodnio-europejskich w czasie wojny, pod kątem widzenia integracji " Strefy Środkowej" mającej wówczas na celu uniezależnienie naszej części Europy zarówno od Niemiec, jak Rosji. W swoim czasie planowi temu sprzyjała W. Brytania. Obecnie chodziłoby o zjednoczenie "Strefy Środkowej", ale pod egidą Rosji. Przez rozbudowanie wzajemnych stosunków gospodarczych kraje środkowo-wschodniej Europy "uniezależniłyby się" od Zachodu, brakujące zaś surowce, jak bawełnę i wełnę dostarczałaby Rosja, wzamian za nadwyżkę produkcji swoich satelitów.

Ostatnie wizyty polityków satelickich wiążą się z tymi planami. Najważniejsze były wizyty w Moskwie polityków Pragi i Warszawy, gdyż Czechosłowacja i Polska musiałyby odgrywać główną rolę w nowym planie Moskwy, najwięcej płacąc swoimi interesami na rzecz powodzenia polityki sowieckiej.

KONIEC MONARCHII W RUMUNII

Kontrofensywa sowiecka przeciwko Planowi Marshalla znalazła również swój wyraz w zaciśnięciu obroży politycznej nad życiem poszczególnych krajów wschodnio- europejskich kontrolowanych przez Sowiety. Tym tłumaczyć należy m. in. zaostrzone represje przeciw wszelkim przejawom opozycji, czy to legalnej, czy podziemnej w Polsce, Czechach i Słowacji, Rumunii itd. W atmosferze tych represji oraz pogłębiającej się sowietyzacji środkowo-wschodniej Europy, monarchia w Rumunii była czymś nienormalnym. Ten zabytek "feudalizmu" był chwilowo tolerowany, gdyż polityka sowiecka nie stosuje zbytecznych gwałtów a la Hitler, tam, gdzie może spokojnie czekać na rozwój wypadków. Król Michał był na ogół układny i posłuszny — i miał obok siebie cały zespół zręcznych i usłużnych Rosji polityków, którzy na zewnątrz świadczyli, że istnieje zbieżność interesów Rumunii oraz Rosjii — i że więzy rosyjskie nad Rumanią są doprawdy — jedwabne. Ale ostatnio i król i ci jego doradcy, jak Tatarescu, znarowili się. Uwierzyli w Plan Marshalla i w Plan Trumana — i rozpoczęli swoje "intrygi". Za karę usunięty został Tatarescu ze stanowiska ministra spraw zagranicznych—zastąpiła go komunistka Anna Pauker — potem przyszły czystki w dyplomacji, wojsku, parlamencie. Wyjazd króla do Anglii na ślub ks. Elżbiety był psychologicznym wstępem do zmiany ustroju: komunistycznym władcom Rumunii przypomniał anachronizm monarchii, samemu zaś Michałowi przypomniał jak wygląda świat na zewnątrz "żelaznej kurtyny". Potem wypłynęła sprawa małżeństwa króla. Obie strony porozumiały się dość szybko. Michał nie chciał być angielskim Karolem I i wybrał wzór Windsora — "toute proportion gardee". Bez wstrząsu i jak na razie wielkich rekryminacji, rozstała się z Rumunią dynastia Hohenzollernów a z nią i monarchia. Rumunia jest od 30 grudnia 1947 r. republiką komunistyczną.

W KRZYWYM ZWIERCIADLE

Zdawałoby się, że rok ubiegły przyniósł przynajmniej jeden objaw dodatni: uświadomienie sobie przez opinię Zachodu, w szczególności krajów anglosaskich, sytuacji, w jakiej znalazła się wielka część kontynentu europejskiego na wschód od linii Triest-Lubeka w następstwie wprowadzenia tam dyktatur komunistycznych, podporządkowanych Moskwie. Dwa artykuły, które ukazały się w londyńskim *Timesie* w dniach 9 i 10 stycznia rb. pod wspólnym nagłówkiem *Planning in East Europe* (podpisane przez anonimowego "specjalnego korespondenta"), dowodzą jednak, że niektóre wpływowe koła w W. Brytanii uparcie trzymają się metody zamykania oczu na prawdy najbardziej oczywiste — co więcej, że zależy im na przedstawianiu stanu rzeczy w krajach Europy Środkowo-Wschodniej w sposób nie odbiegający od sloganów propagandowych pp. Zilliacusa i jego komunizujących *fellow-travellers.*

Autor artykułów zaczyna od stwierdzenia, że "demokracje ludowe", tj. obecne reżimy w tych krajach, oparte zostały na stworzonej czasu wojny "strukturze ruchów oporu". Ta "struktura" nie wszędzie mogła się dostatecznie rozwinąć: Węgry i Rumunia zbyt były związane z niemiecką machiną wojenną, by ruch oporu mógł tam przybrać masowe rozmiary. Natomiast — jak czytamy dalej — "w Polsce i w niektórych regionach Czechosłowacji organizatorzy oporu odnieśli nieskończenie większe sukcesy; wybitne powodzenie mieli także w Jugosławii". Słowem *Special Correspondent* wyraźnie sugeruje, że polskie państwo podziemne — najwspanialsza i najbardziej rozbudowana organizacja oporu przeciwniemieckiego w Europie — było tworem komunistycznym; trudno bowiem chyba przypuszczać, by miał na myśli słabiutką w czasie wojny organizację PPR-u i tzw. Armii Ludowej. W dodatku artykuł podkreśla, że członkowie ruchu podziemnego piętnowali jako zdrajców wszystkich, którzy akceptowali choćby tylko prowizorycznie najeźdźców niemieckich lub włoskich — nie zaznacza jednak, że w Polsce w praktyce cały naród znajdował się w walce z wrogą okupacją. Takie sformułowanie wywoływać musi w umysłach niezorientowanych czytelników wrażenie, że wszędzie, a więc i w Polsce ugrupowania niekomunistyczne w przeciwieństwie do komunistów, uprawiały politykę kapitulacji i wysługiwania się okupantom.

W ten sposób, w trzy lata po zakończeniu wojny, niektórzy tutejsi publicyści kwitują bohaterskie walki Polski podziemnej i jej niezachwianą lojalność wobec sojuszu z W. Brytanią !

"REWOLTA CHŁOPSKA" W PRZYMIERZU Z KOMUNISTAMI

Idźmy jednak dalej. Pod koniec wojny, oświadcza autor, "po raz pierwszy w historii rewolta chłopska zbiegła się z wstrząśnięciem ram porządku społecznego przez siły zewnętrzne. Weterani komunistyczni, którzy nagle zajęli wybitne stanowiska w Europie Wschodniej, bez trudności mogli stwierdzić, że powstała przez to — choćby w nieco nowej postaci — klasyczna sytuacja, przepowiadana przez Marksa. Pisząc w r. 1922 Lenin stwierdził, iż Rewolucja Październikowa powiodła się, ponieważ ruchy robotnicze zape-

wniły sobie poparcie chłopów wskutek groźby "białych" inwazji i obawy, że powrócą obszarnicy (*landlords*)".

Nie trzeba udowadniać, jak dalece i tu *Special Correspondent* się myli. Nie było żadnej "rewolty chłopskiej" w Europie Środkowo-Wschodniej; ludność wiejska niczego się tak nie obawiała jak komunizmu, komuniści zaś ze swej strony, po dojściu do władzy, za jeden z głównych celów postawili sobie zniszczenie samodzielnej warstwy włościańskiej, tak jak to uczynili w Rosji. Także widmo "landlordów" wywołane zostało przez korespondenta *Timesa* w sposób wyraźnie rozmijający się z rzeczywistością. W większości krajów Europy Środkowo-Wschodniej wielkiej własności ziemskiej w ogóle nie było, a w niektórych (jak w Polsce) znajdowała się ona przed Drugą Wojną Światową w stanie szybkiej likwidacji; Węgry były w tym zakresie jedynym wyjątkiem. Nie przeszkadzało to zresztą niektórym publicystom (jak Hugh Setonowi-Watsonowi w jego książce *Eastern Europe between Two Wars*, wydanej w r. 1945) podawać starych cyfr własności ziemskiej, co wywoływać musiało wśród czytelników wrażenie, jakoby Polska była aż do wybuchu wojny klasycznym rezerwatem "landlordyzmu".

Autor artykułu w *Timesie* zapewnia nas dalej — znów wbrew oczywistym faktom — że robotnicy w Polsce mniej lub bardziej zwarcie stoją za nowym reżimem(!) — ale że reżim ten dla pozyskania chłopów gotów jest nawet poświęcić interesy robotnicze.

Planowanie gospodarcze w tych krajach Europy Wschodniej — czytamy dalej — nigdzie nie jest oparte na tych samych podstawach, co pierwsza sowiecka pięciolatka. "Państwa Europy Wschodniej nie mają własności ziemskiej i posiadają w swych rękach tylko stosunkowo nieduży odsetek środków produkcji." Znowuż zupełnie błędny obraz rzeczywistości. Nie większą wartość posiadają i dalsze wywody, zmierzające do wykazania, że polityka gospodarcza obecnych reżimów Europy Środkowo-Wschodniej zdąża do rychłego podniesienia stopy życiowej mieszkańców i osiągnięcia *prosperity* —gdy w rzeczywistości przeznaczeniem jej, dyktowanym z Moskwy, jest powiększać potencjał wojenny ZSRR.

ATTLEE I MORRISON O SYSTEMIE KOMUNISTYCZNYM

Dopiero pod sam koniec swego artykułu *Special Correspondent* nawiasowo wspomina o "obecnych metodach monopartyjnych i państwa policyjnego", najwyraźniej nie przywiązując do tej sprawy większej wagi. Znacznie ostrzej o metodach tych wypowiedział się premier Attlee w swym radiowym przemówieniu z dn. 5 stycznia oraz wicepremier Morrison w mowie wygłoszonej w sześć dni później w Leicester. "Partia komunistyczna — mówił Attlee — zniszczyła dziś wprawdzie w Europie Wschodniej tyranię gospodarczą wielkich właścicieli ziemskich i ustroju kapitalistycznego, ale z drugiej strony zrezygnowała z zasad osobistej wolności i demokracji politycznej oraz odrzuciła cały duchowy spadek Europy Zachodniej."

O ile pierwsza część tego sformułowania nasuwa wątpliwości, o tyle druga jest wypowiedzeniem prawdy, do niedawna uparcie przemilczanej przez wiele czynników politycznych Zachodu. Wicepremier Morrison ujął ją jeszcze dosadniej stwierdzając, że "podporządkowywanie poszczególnych narodów dyktandu komunistycznemu łączy się z masowymi prześladowaniami ludności przez policję polityczną w tych krajach oraz z nieprawnymi egzekucjami tych przywódców politycznych, którzy nie są komunistami".

Wszystko to bardzo słuszne — rzecz w tym jednak, na jaki wysiłek świat zachodni gotów się zdobyć, by ów stan rzeczy zmienić na lepsze?

ZA KULISAMI SPRAWY PALESTYŃSKIEJ

Palestyńskie pismo *Miszmar* podaje, jakoby Sowiety zamierzały pozwolić na emigrację do Palestyny Żydom z krajów bałtyckich i wschodniej Polski. Zezwolenie otrzymają również ci Żydzi rosyjscy, których praca nie jest niezbędna dla państwa. Dla Żydów skazanych za działalność syjonistyczną ogłoszona będzie amnestia. Sowiety oczekują, że Żydzi zwrócą się do nich o pomoc w budowie państwa żydowskiego w Palestynie. W najbliższym czasie nastąpić ma nawiązanie stosunków dyplomatycznych i handlowych między Sowietami a Palestyną.

DIAGNOZA I LECZENIE

Koniec roku daje zwykle okazję do najróżniejszych spekulacji syntetycznych w prasie.

Charakterystyczny dla tego rodzaju rozważań jest artykuł noworoczny w tygodniku *Wiadomości Polskie*, wydawanym w Sztokholmie. Tygodnik ten, redagowany przez przywódcę Stronnictwa Ludowego "Wolność" zajmuje się tak "przełomowym" dla naszej walki o wolność wydarzeniem, jak ucieczka Mikołajczyka z Kraju.

Autor artykułu wstępnego, w numerze 1/361 z dnia 3 stycznia br. stawia następującą diagnozę: "Na emigracji obóz niepodległościowy przeżył w roku ubiełym okres porażki w wojnie nerwów. Ekipa starsza, walcząca od ośmiu lat bez wypoczynku, wyczerpana duchowo i fizycznie nie zdołała sprostać rosnącemu naporowi wydarzeń".

Po takiej diagnozie w innej części artykułu autor musi dać wskazówki lecznicze. Lekarstwo na tę chorobę widzi w . . . przyjeździe Mikołajczyka. "Przyjazd Mikołajczyka i innych członków prezydium PSL na emigrację stał się czynnikiem wzmacniającym w sposób niezwykle silny obóz niepodległościowy, mimo nadziei komunistów, że zjawienie się PSL zagranicą przyczyni się do rozbicia emigracji. Najlepszym dowodem jest deklaracja Mikołajczyk-Rozmarek.

Z zacytowanych urywków artykułu wynika po pierwsze:

Wiadomości Polskie w Sztokoholmie nie uzgadniają swego stanowiska z żadnym ośrodkiem politycznym. Są pismem idealnie "niezależnym". Zależą tylko od fantazji jego redaktora. Ciekawe, że członek władz SL "Wolność", p. Ścigalski, wyraża w Londynie na zebraniu publicznym swoje stanowisko, potępiające powtórne próby Mikołajczyka w kierunku rozbicia emigracji — natomiast inny działacz tegoż stronnictwa publikuje coś wręcz przeciwnego w Sztokholmie.

Po drugie: znamienne jest wyznanie na temat nadziei komunistów, że przyjazd Mikołajczyka na emigrację przyczyni się do jej rozbicia. Nadzieje te w pewnej mierze były uzasadnione; p. Mikołajczyk razem z p. Bagińskim robią co mogą.

Po trzecie: deklaracja Mikołajczyk-Rozmarek nie tylko nie pomogła polityce polskiej, a narobiła zamieszania w dotychczas jednolitej postawie Kongresu Polonii w Ameryce.

Można by jeszcze długo wyławiać złote myśli i złote wnioski autora artykułu pt. *Nauka roku* 1947, na dowód, że rok ten, ani lata poprzednie niczego pewnych ludzi nie nauczyły. Warto tutaj jedynie ostrzec przed stawianiem nowej tezy leczenia polityki polskiej przez szlusowanie do Mikołajczyka.

Inną wypowiedzią z tego samego gatunku fantastycznej diagnozy i takich samych środków leczniczych jest wywiad na łamach *Polski Wiernej* z p. Sulimierskim. Fałszywy prezes fałszywego Stronnictwa Pracy wita po swojemu prezesa Mikołajczyka jako zbawcę rozbitej emigracji.

ARYSTOKRATA

Sir Stafford Cripps staje się *de facto* pierwszą osobą w rządzie brytyjskim. Łączy funkcje ministra spraw gospodarczych i skarbu. Wygląda jakby Partia Pracy po raz pierwszy zaczynała mieć "leadera".

Cripps stał dotąd na lewicy partyjnej. W Partii Pracy są dwa prądy: robotniczy i inteligencki. Robotniczy, reprezentowany głównie przez związki zawodowe, jest przeciwny gwałtownym zmianom i nie chce gospodarki planowej. Inteligencki jest socjalistyczny, doktrynalny i chce prawdziwej gospodarki planowej. Cripps należał do skrzydła inteligenckiego. Ale Cripps odbywa podróż na prawo. Przed wojną był usunięty z partii i uchodził za komunistę. Karierę zaczynał na najskrajniejszej lewicy. Dziś jest czynnikiem jednoczącym w partii, a mówi się o nim, że jutro może być premierem rządu jedności narodowej.

Najciekawsza może jest strona socjologiczna tej kariery politycznej. Cripps pochodzi ze starej rodziny politycznej, z jednego z tych rodów, które stanowiły elitę polityczną Anglii od wieków. Dewiza rodowa Crippsów brzmi: *Fronti nulla fides*! (Nie ufaj pozorom !). Ani inteligent Attlee ani robotnik Bevin nie potrafili wybić się na stanowisko przywódcy ruchu i rządu. Zdystansował ich członek starej arystokracji politycznej, wprowadzając ją z powrotem na Downing Street niejako kuchennym wejściem — przez komunizm i socjalizm. Kto wie, czy nie okazał się w tym wyborze drogi wierniejszym potomkiem starych gentlemanów i pełniejszym ich następcą niż ci, którzy uparcie przeciwstawiali się ruchowi społecznemu mas angielskich. Do rządzenia państwem socjalistycznym *Kinderstube* politycznych salonów może okazać się równie pożyteczna jak i do rządzenia każdym innym.

Fronti nulla fides . . .

KULTURA NARODU—RZECZ NAJWAŻNIEJSZA

Rozmowa z ministrem prof. Wl. Folkierskim

KULTURA polska w najszerszym pojęciu tego słowa jest jednym z dóbr naszej cywilizacji, które w chwili obecnej wytrzymują na sobie najcięższe uderzenia świata wschodniej destrukcji — komunizmu. Zagrożenie to, mimo postawy oporu w jakiej naród nasz trwa nieustannie, jest szczególnie wielkie, jeśli się zważy osamotnienie narodu polskiego, wystawionego na lekkomyślną próbę kompromisu między naszą epoką i projektowaną epoką państwowego niewolnictwa — epoką Kremla. Opór polityczny Polaków gdziekolwiek byli, nie był — wbrew wszystkiemu niemal co chciało nas zagłuszyć — postawą "niepoprawnych romantyków" — była to pełna świadomość zagrożenia podstaw naszego bytu narodowego przez odwrócenie i zniszczenie wartości, na powstanie których pracowały długie dziesiątki stuleci.

Szczególnie ciężkie ciosy zadaje kulturze polskiej osadzony w Polsce reżim komunistyczny na odcinku najważniejszym dla rozwoju kultury narodowej—szkolnictwa wyższego, warsztatów naukowych, organizacji studiów, a nawet doboru studiujących i wykładających. Rok ostatni alarmował nie jeden raz faktami na odcinku uniwersyteckim, kulminacyjnym zaś punktem była jesień ub. roku, kiedy to dnia 27 października 1947 r. wszedł w życie dekret będący rezultatem zabiegów komunistycznego "ministra oświaty" Skrzeszewskiego. Treścią tego dekretu jest organizacja szkolnictwa wyższego.

Chcąc zdobyć informacje wyczerpujące z tej dziedziny, zaalarmowani faktami, zwróciliśmy się do p. ministra profesora Folkierskiego z prośbą o wyjaśnienie.

Rozmowa toczyła się przede wszystkim na temat najbliższy prof. Folkierskiemu, o sprawach uniwersyteckich, z którymi związana jest długoletnia jego działalność naukowa i pedagogiczna w sercu nauki polskiej — na Uniwersytecie Jagiellońskim. Nawiązując do czasów świetności uniwersyteckiej w Polsce, czasów autonomii Rzeczypospolitej Akademickiej, stawiamy pierwsze pytanie : —A dziś?

— Autonomia — odpowiada prof. Folkierski — w obecnych warunkach przestała istnieć, jakkolwiek głośno rozbrzmiewają hasła o demokracji i wolności nauki. Zaszły w tej dziedzinie fakty dokonane, które wolność tę wykluczają.

— Jakie fakty uważa Pan Profesor za szczególnie niebezpieczne dla wolności nauki w Polsce ?

— Hierarchia niebezpieczeństw sięga do podstaw i obejmuje tak zasadniczą rzecz, jak dostęp młodzieży do szkolnictwa akademickiego. Na jesieni r. ub. ogłoszono w dziennikach warunki przyjęcia na uniwersytet. Z warunków tych okazuje się jasno, że nie wystarcza egzamin dojrzałości. Zastosowano do młodzieży polskiej swego rodzaju "numerus clausus" na wszystkie wydziały. Warunkiem dostania się na uniwersytet jest poza egzaminem dojrzałości — egzamin wstępny. Rzecz jednak w tym, że od egzaminu wstępnego można uzyskać zwolnienie. Uzyskuje się je na podstawie zaświadczenia związków zawodowych, lub przynależności politycznej. Oczywiście, żeby procedura była nieco strawniejsza, odpowiednie władze wydają zaświadczenie o specjalnych zasługach społecznych kandydata. Najbardziej chyba charakterystyczną dla tych stosunków jest klauzula, na podstawie której zwolnieniu od egzaminu wstępnego ulegają ci kandydaci, którzy należą do klas społecznych, uprzednio "upośledzonych" w możliwości dostania się na wyższe studia. . . Trzeba niestety stwierdzić na podstawie wiadomości jakie nas doszły, że znaczna część młodzieży uniwersyteckiej składa się już z tego, przez reżim nasłanego elementu.

— Jakie są tendencje reżimu komunistycznego w zmianach ustroju szkolnictwa wyższego ?

— Najdalej w tej sprawie poszedł komunistyczny dekret z dnia 27 października ub. roku. Dekret ten powołuje "Radę główną dla spraw nauki i szkolnictwa wyższego" przy ministrze oświaty. Aczkolwiek pozostawiono nadal Rady Wydziałowe, straciły one jednak swe dotychczasowe uprawnienia i swój zakres działalności. Tak np. Rady Wydziałowe mogą przeprowadzać habilitacje, ale może je przeprowadzać i owa Rada główna przy ministrze oświaty, poza plecami Wydziałów. Ma ona nawet prawo kwestionowania doktoratów nadanych przez Rady Wydziałowe.

Oczywiście "Rada główna" przy komunistycznym ministrze oświaty reprezentuje w odpowiedniej większości ludzi reżimu, tj. według tamtej terminologii "czynnik społeczny". W myśl dekretu z 27 października profesorów mianuje "prezydent" państwa, po zasięgnięciu opinii — nie Senatu akademickiego, lecz tej właśnie uspołecznionej "Rady głównej" przy ministrze, który znów ze swej strony nie jest wcale związany kandydatami na profesorów, przedstawionymi przez Rady Wydziałowe. W Krakowie urzęduje już nawet taki profesor od spraw związanych z Polską współczesną.

Pociągnięciem obliczonym na kupienie młodzieży są tzw. zebrania *ogólnouniwersyteckie*, w których oprócz profesorów, docentów, asystentów i adiunktów uczestniczy i młodzież akademicka.

— Reżim nieustannie reklamuje swe rekordy w dziedzinie rozszerzania zasięgu nauczania i powiększenia ilości szkół wyższych. Jak ta sprawa wygląda w świetle faktów ?

— W Polsce przedwojennej — odpowiada minister Folkierski — ilość szkół akademickich była ściśle określona. Dzisiaj jest inaczej. Granica między szkołą akademicką, a jakąś inną szkołą typu wyższego, czy nawet średniego jest nikła. Najbardziej dramatycznym wydarzeniem, charakteryzującym ten fakt była tzw. konferencja rektorów w ub. roku oraz rezolucja tej konferencji, potępiająca oskarżonych na procesie krakowskim działaczy PSL ; na konferencji tej faktyczni rektorzy szkół wyższych znaleźli się w mniejszości wskutek dopuszczenia kierowników szkół innego typu.

Uniwersytetów w Polsce powstało co niemiara. Np. w małym Lublinie obok uniwersytetu katolickiego, powstał uniwersytet im. *Curie-Skłodowskiej*. Instytucja ta, powszechnie nosi miano "uniwersytetu bezbożniczego". Nie znaczy to oczywiście, żeby uniwersytet posiadał młodzież bezbożniczą. Oto drobna ale wymowna ilustracja : podczas jednej z ostatnich inauguracji roku akademickiego zgłasza się do rektora Raabego delegacja młodzieży z zaproszeniem komunistycznego rektora i wykładowców na nabożeństwo do kościoła. Oczywiście p. Raabe odmawia. W rezultacie młodzież przedefilowuje ze sztandarami przed swą uczelnią udając się sama do kościoła na mszę św.

— O godnej postawie młodzieży w Kraju słyszymy tutaj nieraz. Może Pan Profesor zechce powiedzieć na ten temat coś ze swoich spostrzeżeń.

— Jak dotąd stanowisko młodzieży jest niezawodne i niewątpliwie takim pozostanie nadal. Młodzież ta przedwcześnie dojrzała w ogniu obu okupacji na plewy wziąć się nie da. Pozostaje w serdecznym związku ze swoimi profesorami. Niebezpieczeństwo kryje się tylko wśród tej części młodzieży, która wchodzi nieprzygotowana do życia w społeczności akademickiej na podstawie poparcia reżimu. Są jednak i takie głosy — zapewne optymistyczne — które mówią, że nawet i ta nasłana młodzież zostanie przetworzona w dobrym środowisku rówieśników. Gdyby nawet tak było, to nie można zapominać, że zawsze znajdzie się pewna liczba nasłanych agitatorów, która tkwić będzie dla celów dywersyjnych.

Jako zjawisko wysoce dodatnie należy podkreślić ogromny pęd młodzieży do nauki. Sale wykładowe są pełne. Młodzież rzetelnie chce nadrobić straty wojenne.

— Każdy z nas gorąco jej tego życzy. Czy jednak — i tu przechodzimy do innej części naszej rozmowy — czy i jakie są możliwości akcji w dziedzinie szkolnictwa z tej strony Żelaznej Kurtyny, ze strony społeczeństwa polskiego na emigracji ?

— Na barki społeczeństwa emigracyjnego, z jego ośrodkiem kierowniczym na czele, spada ogromne brzemię odrobienia tego, co w Kraju jest zniszczone — w bardzo trudnych warunkach i przy minimalnych środkach materialnych. W znanych warunkach przeróżnego rodzaju trudności udało się w znacznej mierze posunąć problem nauczania młodzieży polskiej na obczyźnie. Na 7 tysięcy kandydatów na studia wyższe — 5 tysięcy ma już możliwość nauki. Najlepiej sprawa ta przedstawia się w W. Brytanii, gdzie dzięki pomocy brytyjskiej kształci się w *Polish University College*, na uniwersytetach i wyższych technicznych szkołach brytyjskich ok. 3 tysięcy Polaków.

W Niemczech zachodnich i Austrii — mimo niezwykle ciężkich warunków — uczy się dotychczas tysiąc kilkaset akademickiej młodzieży polskiej. Przy okazji należy przypomnieć konieczność pomocy dla tej młodzieży znajdującej się w nadwyraz ciężkich warunkach. Kilkuset studentów uczy się we Francji i Belgii dzięki pomocy okazanej przez wojsko nasze i społeczeństwo cywilne.

Wreszcie nieznaczne resztki studiujących znajdują się we Włoszech, Szwajcarii, Szwecji, Hiszpanii i w Libanie. Ta ostatnia grupa (z górą 100 osób) studiująca w Bejrucie ma warunki idealne, pod opieką *Polskiej Rady Oświatowej* oraz przy serdecznej pomocy rządu libańskiego, który uznaje legalne władze R.P.

— Ta część wiadomości jest naprawdę pocieszająca. Jak z niej widzimy, nowa emigracja polityczna bardzo poważnie traktuje swą rolę pracy nad kulturą zagrożoną w Kraju. Ostatnim problemem, który nas interesuje, a który wiąże się ściśle z tematem poprzednim — to sprawa kultury na emigracji. Kultury — w najszerszym tego słowa znaczeniu, tak naukowej, jak i literackiej.

— Nic ma rzeczy ważniejszej. Kultura polska jest w najwyższym stopniu zagrożona w Kraju, wskutek parcia elementów wschodnich i podcinania odporności społeczeństwa, które się i tak nie daje przytłoczyć. Wolność słowa jest zakneblowana, pozostaje właściwie tylko ambona. Ruch wydawniczy jest zmonopolizowany w rękach przeciwnika. Atak oczywiście idzie nie na matematykę i nie na nauki przyrodnicze, lecz na humanistykę. Obrona zaś i przeciwargumentacja nie mają szans żadnych. Obowiązkiem naszym na

emigracji jest nic pozwolić na to, by zerwała się ciągłość kultury polskiej i nie dopuścić, by skrzywiona czy zdławiona została prawda historyczna. Są to zadania olbrzymie, których jednak musimy się podjąć nawet bez wystarczających środków materialnych.

— Jakie sposoby zaradzenia widzi Pan Minister w tej dziedzinie?

— Zadaniem istotnym w tej sprawie jest utrzymanie trzech głównych instytucji kulturalnych, które udało się przeprowadzić przez czas najgorszy. Funkcjonują dziś trzy takie instytucje w pełnym rozwoju duchowym, z malejącymi katastrofalnie środkami materialnymi. Są one doskonale rozłożone pod względem geograficznym. Są to:

1. *Biblioteka Polska* w Paryżu, założona przez Wielką Emigrację w roku 1838, gromadząca u siebie całe archiwum emigracji polskiej, rękopisy Mickiewicza i poważny księgozbiór, który — dzięki opiece Opatrzności — udało się uratować z katastrofy wojennej, mimo, że Niemcy go wywieźli, a odnaleźli bolszewicy. Biblioteka paryska jest nie tylko księgozbiorem, ale także bardzo zasłużoną firmą wydawniczą. Biblioteka ta, w znacznej mierze, uratowana została dzięki niezmordowanej energii dyrektora F. Pułaskiego.

2. *Polish Research Centre* w Londynie ma już pokaźny zasób książek, organizuje wykłady, jak np. prelekcje świeżo powstałego Instytutu Kultury Polskiej. Polish Research Centre ma również zamierzenia wydawnicze, jak o tym świadczy niedawno wydana książka A. Wielhorskiego: *Polska a Litwa.* Na czele tej instytucji stoi prof. A. Żółtowski.

3. *Instytut Polski* w Ameryce kierowany przez prof. Oskara Haleckiego, Instytut ten wydaje: *Bulletin of the Polish Institute of Arts and Sciences in America.*

— Są to trzy główne instytucje służące na emigracji kulturze polskiej. O ile mi wiadomo, istnieją inne, o mniejszym zakresie towarzystwa naukowo-kulturalne.

— Owszem. Uważam to za bardzo dodatnie zjawisko, gdyż świadczy ono o pogłębieniu zagadnień specjalnych. Mam tu na myśli przede wszystkim: *Towarzystwo Historyczne* w Londynie, urządzające periodyczne odczyty naukowe i rozporządzające swoim własnym organem — *Teki Historyczne.* Towarzystwo Historyczne zawarowało sobie możliwość tworzenia szeregu sekcji. Myślę tu np. o sekcji historyczno-literackiej, która — mam nadzieję — w niedługim czasie będzie uruchomiona.

Drugim stowarzyszeniem, o którym wspomnieć należy, jest *Zrzeszenie Profesorów i Docentów w W. Brytanii.* Przystąpiło ono obecnie do prac przygotowawczych nad zorganizowaniem Rady Naukowej, koordynującej działalność poszczególnych towarzystw naukowych pracujących na obczyźnie.

Tyle na razie mam do powiedzenia w sprawach organizacyjnych kultury polskiej na obczyźnie — kończy prof. Folkierski.

To wcale niemało. Kto się z bliska przyjrzy tym sprawom, widzi ogromną rozpiętość przeszkód, a przede wszystkim brak środków materialnych. Pokrzepiające są jednak zapał twórczy i żywotność społeczeństwa emigracyjnego, które, w najcięższych warunkach kierowane przez Rząd R.P., rozumie, że nie można dopuścić, by to, o co tak krwawo naród polski walczył, rozpadło się w nicość. Dziękujemy Panu Ministrowi za tę garść informacji. Cel ich to nie tylko podzielenie się z czytelnikami naszego pisma wiadomościami, które otrzymujemy, lecz przypomnienie większej rzeszy Polaków o tych obowiązkach narodowych, które narzuca nam chwila obecna.

Wywiad przeprowadził

WIKTOR TROŚCIANKO

WOJCIECH WASIUTYŃSKI

W nowej perspektywie*)

AMERICA RULES THE WAVES

LOSY średnich i małych narodów zależały zawsze w znacznym stopniu od wielkich mocarstw. Mocarstwami w chwili kongresu wiedeńskiego były przede wszystkim Rosja, Anglia i Francja, w chwili kongresu wersalskiego Anglia, Francja i Stany Zjednoczone, w chwili układu jałtańskiego Stany Zjednoczone, Rosja i Anglia. W chwili obecnej mówić można właściwie o dwóch już tylko mocarstwach pierwszej klasy: Stanach i Sowietach. Los Polski jak i los każdego innego narodu świata uzależniony jest w tej chwili od tych dwóch państw i stosunków między nimi.

IMPERIUM LĄDU I IMPERIUM MORZA

Trzecie mocarstwo jałtańskie, Wielka Brytania, jest mocarstwem w tym znaczeniu, w jakim mocarstwem były Austro-Węgry, tzn. ma mocarstwową przeszłość, mocarstwowy obszar i ludność, ale jego struktura wewnętrzna pozbawia go możności samodzielnego działania. Statut westminsterski przyznający dominiom równouprawnienie ze Zjednoczonym Królestwem i pełną niepodległość w ramach dobrowolnego związku Brytyjskiej Wspólnoty Narodów stał się dla Brytanii tym, czym konstytucja 1866 r., przyznająca autonomię krajom koronnym, stała się niegdyś dla Austrii. Poszczególne kraje wiedziały, że bezpieczeństwa przed groźnymi sąsiadami nie zapewni im osłabiony Wiedeń, a te z nich, które, jak Węgry, miały silne mniejszości narodowe w swych granicach, wiedziały, że panowania nad nimi nie utrzymają w oparciu jedynie o właściwą Austrię. Dla Węgier sojusz z Niemcami był równie konieczny jak jest dziś konieczny dla Australii sojusz Brytyjskiej Wspólnoty Narodów ze Stanami Zjednoczonymi. Wiedeń w niemniejszym stopniu nie mógł utrzymać panowania nad nie niemieckimi krajami wbrew woli Berlina, jak dziś Londyn nie mógłby zachować wspólnoty dominialnej z Indiami i Pakistanem wbrew woli Waszyngtonu. Cesarstwo niemieckie panowało strategicznie nad życiowymi arteriami lądowymi Austro-Węgier, jak dziś Ameryka panuje nad życiowymi arteriami morskimi Brytyjskiej Wspólnoty Narodów. Austria była mocarstwem, ale tylko jako second brilliant. Sojusz z Ameryką zdaje się być dla Wielkiej Brytanii tym, czym stał się sojusz z Niemcami dla Austro-Węgier — koniecznością. Konieczność w jednym wypadku nastąpiła w kilkanaście lat po konstytucji, w drugim w kilkanaście lat po statucie westminsterskim. Brytania stała się brilliant second. Jak mówiono niegdyś o mocarstwach centralnych jako o całości, tak mówi się dziś o mocarstwach atlantyckich.

Przed przeszło stu laty Juliusz Słowacki z intuicją właściwą wielkim poetom twierdził, że tylko dwa państwa w świecie mają ideę, a mianowicie Rosja ma ideę władania lądem, a Anglia ma ideę władania morzem. Istotnie Rosja leży w środku Wielkiego Lądu, spływa bez granic naturalnych w równiny Azji centralnej i Europy środkowej, aby mieć poczucie bezpieczeństwa, musi sięgać dalej i dalej. Aby zachować Władywostok, sięga po Mandżurię i Koreę. Aby zachować Mandżurię sięga po Mongolię i Dżchol. Aby zachować Kazakstan, sięga po Sin-Kiang. Aby zachować Ukrainę, sięga po Polskę. Aby zachować Polskę, sięga po Czechy i Węgry. Aby zachować Leningrad, sięga po Tallin i Helsinki. Aby zachować Kaukaz, sięga po Azerbejdżan i Kurdystan. I tak aż do granic lądu.

Bezpieczeństwo mocarstwa morskiego i jego polityka są zupełnie inne. Jego granica jest niewzruszona: wybrzeże morskie. Nie szuka ono poszerzenia swych granic. Zapewniania bezpieczeństwa nie szuka na lądzie lecz na morzu. Bezpieczeństwo na morzu oznacza zaś nie co innego, jak kontrolę portów po przeciwnym brzegu. Bezpieczeństwo Anglii to było niegdyś Calais, to było niedopuszczenie Francji i Niemiec do portów belgijskich i holenderskich, to były Gibraltar, Malta, Cypr, Suez, Kapsztad, Singapur, Bahamy i Bermudy. Anglia nie usiłowała narzucać swej władzy krajom w głębi lądu, pilnowała natomiast, by nad bliskimi kontynentami nie powstała władza jednego państwa dość silnego, by sięgnąć na morza. Każde bowiem duże państwo, które ma wybrzeże morskie, będzie usiłowało z niego korzystać. Tak walczyła Anglia z groźbą hegemonii hiszpańskiej od czasu Wielkiej Armady po wojnę sukcesyjną, potem z groźbą hegemonii francuskiej od Ludwika czternastego do Napoleona trzeciego, wreszcie z groźbą hegemonii niemieckiej od Wilhelma do Hitlera. Nigdy wszakże nie zamierzała anektować w tych walkach ani Hiszpanii, ani Francji, ani Niemiec.

Ląd jest podzielny. Bezpieczeństwo na lądzie zapewnić ludziom może szereg państw niepodległych. Morze jest niepodzielne. Bezpieczeństwo na morzu zapewnić może tylko jedno. Andre Siegfried zwraca uwagę, że zniknięcie korsarstwa jest zjawiskiem całkiem świeżym i łączy się ściśle z opanowaniem mórz przez flotę angielską. Gdyby flota angielska — twierdził on — znikła, bylibyśmy niewątpliwie świadkami odrodzenia korsarstwa. Toteż koncepcja ładu światowego wychodząca od mocarstwa morskiego będzie zwykle koncepcją policyjną, koncepcją ponadnarodowej kontroli, a nie ponadnarodowego panowania jak tego pragną koncepcje wyrosłe w państwach lądowych. Panowanie mocarstwa kontynentalnego oznacza dla innych ucisk, panowanie mocarstwa morskiego tylko wyzysk.

Anglia była pierwszym mocarstwem morskim. Wyrazem i sprawdzianem tego było, że posiadała floty handlową i wojenną przekraczające swą siłą wszystkie inne floty świata. Anglicy ujęli to nawet w specjalną formułę międzynarodową: że flota wojenna brytyjska musi być silniejsza niż dwie następne co do wielkości floty wojenne razem wzięte. Najpoważniejszymi konkurentami dla brytyjskiej mogły być floty wojenne francuska, niemiecka a później i japońska. Dziś floty: francuska, niemiecka, włoska, japońska, hiszpańska nie grają żadnej roli lub zgoła nie istnieją. Natomiast w bieżącym stuleciu wyrosła flota amerykańska.

Stany Zjednoczone zawdzięczają zachowanie swej niepodległości w dziewiętnastym wieku temu, że były chronione przez flotę brytyjską i że Brytania nie chciała dopuścić

*) Zob. "Półkula północna" w poprz. numerze.

do Ameryki Północnej żadnego z mocarstw europejskich. Deklaracja Monroego była w rzeczywistości ogłoszeniem układu angielsko-amerykańskiego. Podobnie państwa Ameryki łacińskiej niepodległość swą zawdzięczają temu, że flota brytyjska nie dopuściła do interwencji hiszpańskiej czy portugalskiej przeciw zbuntowanym Kreolom. Toteż dość długo Stany Zjednoczone nie potrzebowały własnej floty wojennej. Jednakże opanowanie Hawajów i przyłączenie Filipin w wyniku zwycięstwa nad Hiszpanią pchnęły Amerykan na drogę rozbudowy własnej wielkiej floty dla obrony posiadłości, w których utrzymaniu przez Stany Anglia nie była zainteresowana.*) Prawdziwy przewrót nastąpił jednak dopiero w czasie drugiej wojny światowej.

Przed wybuchem wojny flota handlowa Stanów pod względem tonażu stanowiła niewiele ponad połowę floty brytyjskiej (jedenaście i pół do dwudziestu i trzech czwartych miliona ton). W wyniku kilku zaledwie lat wojny stosunek ten się odwrócił: tonaż floty handlowej brytyjskiej stanowi zaledwie połowę tonażu floty handlowej Stanów Zjednoczonych (czternaście do dwudziestu dziewięciu milionów ton). Stany Zjednoczone same mają połowę statków oceanicznych świata (ściśle 45%). Stosunek flot wojennych przedstawia się bodaj jeszcze bardziej jaskrawo. Stany wybudowały w okresie wojny dwie floty: atlantycką i pacyficzną, z których każda, wedle zapowiedzi, miała być silniejsza od jakiejkolwiek istniejącej wówczas floty wojennej świata. Dodać jeszcze należy, że Stany posiadają bezkonkurencyjne lotnictwo morskie.

Krótko mówiąc Stany Zjednoczone są dziś główną potęgą morską świata. Posiadają one w stosunku do innych państw co najmniej taką przewagę na morzu, jaką posiadała Anglia w ubiegłym stuleciu. Ameryka rządzi morzami. Odwrócił się nie tylko stosunek sił flot, ale odwróciły się i role polityczne. Dziś flota amerykańska jest gwarantką niepodległości Narodów Brytyjskich, ona chroni Kanadę, Nową Zelandię, Australię, Unię Afrykańską, Indie. W istocie Stany Zjednoczone przejęły od Anglii rolę mocarstwa morskiego świata. Przejęły rolę i w znacznej mierze przejmują politykę.

POLITYKA ŚWIATOWA STANÓW

Chroniona "drewnianym murem" floty brytyjskiej Ameryka przez długi czas nie potrzebowała polityki zagranicznej i nie wytworzyła ani tradycji w tym zakresie ani kadr służby zagranicznej. W r. 1917 politycy amerykańscy zrozumieli, że zwycięstwo Niemiec w Europie stworzy poważne zagrożenie dotychczasowego stanu na Atlantyku i weszli do wojny. Po jej zakończeniu Stany powróciły do swej izolacji. Cokolwiek się dziś o tym mówi, nawet w samej Ameryce, jako o błędzie, było to nieświadome powtórzenie polityki Anglii sprzed wieku: interwencja dla zgniecenia hegemona kontynentalnego i powrót do *splendid isolation*. Anglia także nie weszła do Świętego Przymierza po pokonaniu Napoleona, jak Stany nie weszły do Ligi Narodów. Typowa polityka mocarstwa morskiego, interweniującego dla przywrócenia równowagi i wycofującego się potem. Anglia po pierwszej wojnie światowej pragnęła grać w dalszym ciągu podobną rolę, ale było to już niemożliwe. Pierwszy to raz wówczas Amerykanie odegrali rolę Anglików, sami o tym nie wiedząc.

*) Rozwój posiadłości zamorskich Stanów Zjednoczonych jest równie szybki jak wszechstronny: 1867 — Alaska, 1878 — Samoa, 1893 — Hawaje, 1898 — Guam, 1899 — Filipiny, Kuba (faktycznie), 1903 — Panama (faktycznie), 1945 — Mariany, Karoliny, bazy na Bermudach, Islandii, Grenlandii.

Rola "arsenału demokracji" w początkach drugiej wojny światowej, to znowu rola Anglii w wojnach napoleońskich. "Ofensywa dolarowa" to nowa "kawaleria św. Jerzego". Nie są to podobieństwa zewnętrzne.

Treścią ideologiczną imperializmu angielskiego, tym co można by nazwać angielskim uniwersalizmem, była idea wolności gospodarczej i politycznej, a przede wszystkim wolnego handlu światowego i wolnej konkurencji gospodarczej. Anglia pod wpływem konieczności odeszła od tych zasad. Wprowadziła system ceł preferencyjnych w stosunku do dominiów, a od czasu drugiej wojny światowej weszła na drogę gospodarki planowej. Zasady *free trade* i *free enterprise* głosi dziś nie Anglia, ale Ameryka. Ideologiczną rolę Brytanii przejęły Stany. Hasła wolności głoszone na świat z tamtej strony Atlantyku mają to samo znaczenie co przed stu laty hasła głoszone w tym samym języku z tej strony oceanu. Bardzo charakterystyczne w ostatnich latach jest ogromne powodzenie w Stanach książki *The Anatomy of Peace*, głoszącej w najjaskrawszej możliwie formie ideologię imperializmu amerykańskiego, amerykańskiego uniwersalizmu w postaci postulatu nadpaństwa światowego i zniesienia wszystkich granic dla pełnego urzeczywistnienia wolności produkcji i handlu. Ideologia taka jest zupełnie zrozumiała u narodu, który ma największą i bezkonkurencyjną obecnie na świecie produkcję i panuje na morzach.

Podczas gdy Brytania redukuje swe porty zamorskie, wycofuje się z Indii, Palestyny, Egiptu, Ameryka wkracza do Persji, Chin, Japonii, Grecji. Pozornie przedsięwzięcia amerykańskie cechuje przypadkowość, towarzyszą im częste i raptowne zmiany kierunku. Nie znaczy to, by nie było w nich linii. Anglia przed półtora wiekiem nie postępowała inaczej. Empiryzm jest wspólny obu siostrzycom. Prawdziwa linia amerykańska ustala się przecież coraz wyraźniej dyktowana koniecznościami geograficzno-politycznymi.

Bardzo pouczające jest pod tym względem przestawienie polityki amerykańskiej we wschodniej Azji. U podłoża wojny z Japonią leżała rywalizacja o Chiny. Wielkim marzeniem Amerykanów od blisko stulecia było zdobycie dla produkcji amerykańskiej tego największego teoretycznie rynku zbytu na świecie.**) Amerykanie uważali wojnę w Azji za o wiele ważniejszą dla swej przyszłości od wojny w Europie. Europejska była tylko obronna, azjatycka miała dać wielkie zdobycze. Dla zdobycia rynku wschodnio-azjatyckiego nie dość było pokonać Japonię, trzeba było jeszcze zorganizować Chiny — handel w anarchii jest niemożliwy. Amerykanie byli gotowi włożyć wielki wysiłek w zorganizowanie Chin. Przystąpili do tego z pewnym rozmachem i po półtora roku wycofali się, ograniczając się, jak się zdaje, do pomagania narodowemu rządowi chińskiemu o tyle, by nie uległ komunistom. Równocześnie zaś główny wysiłek Ameryki zwrócił się na odbudowę i przebudowę Japonii.

Japonia była wrogiem numer jeden, Chiny były sojusznikiem i ziemią obiecaną komiwojażera. Ale Chiny są olbrzymim krajem kontynentalnym. Kraju takiego nie można zorganizować zza morza, a w każdym razie jest to niezmiernie trudne. Chiny są krajem bezdroży. Były wiele razy podbijane, ale zawsze od lądu. Zaangażowanie się do głębi w Chinach byłoby sprzeczne z charakterem państwa amerykańskiego. Amerykanie spostrzegli, że mogliby utonąć w Chinach, jak Japończycy na długie lata bez widocznego rezultatu. Co innego Japonia. Japonia ma

**) Już w 1849 prezydent Fillmore przewidywał "the great trade which must at no distant day be carried on between the western coast of North America and Eastern Asia".

takie położenie względem Azji, jak Brytania względem Europy i z tego tytułu już Fourier przed półtora wiekiem przepowiadał jej wielką przyszłość.

Dla potęgi morskiej idealną przystanią na przeciwnym brzegu jest wyspa leżąca blisko niego. Obronna od niepewnego lądu przy pomocy floty, niedostępna dla sił lądowych, otwarta ku morzu stanowi najpewniejsze oparcie. Stany Zjednoczone mają dwa wybrzeża otwarte na dwa oceany, a za tymi oceanami dwa niepewne kontynenty. Bezpieczeństwo Stanów wymaga kontroli nad tymi przeciwnymi brzegami, jak bezpieczeństwo Anglii wymagało kontroli nad przeciwnym brzegiem Cieśniny Kaletańskiej czy kanału św. Jerzego. Kontrola taka przybiera dwojaką postać: interwencji dla zapobieżenia powstaniu dużej potęgi na wybrzeżu i posiadaniu dostatecznie dużej przystani własnej, dominującej nad wybrzeżem. Przeciwne natomiast charakterowi potęgi morskiej jest głębokie i stałe wkraczanie w sprawy kontynentalne, urządzanie tam państw, lub regulowanie stosunków między nimi. Również stałe sojusze z państwem kontynentalnym nie opłacają się.

Z tego punktu widzenia Ameryka musi "mieć" dwa kraje jakby dla niej stworzone: Brytanię i Japonię. Sentymenty i resentymenty (jak np. do Anglików widoczny u Roosevelta czy powszechny do Japończyków) muszą tu ustąpić koniecznościom polityczno-geograficznym. Można być pewnym, że taką czy inną drogą Stany Zjednoczone zrobią wszystko, by mieć pewne oparcie na Wyspach Brytyjskich i na Archipelagu Japońskim. Nie tylko bowiem Anglia, ale i Japonia jest "wielkim lotniskowcem". Ameryka może stracić całą Europę i całą Azję, nie może stracić Anglii i Japonii.

Jest natomiast bardzo mało prawdopodobne, by Ameryka wiązała się z jakimś państwem kontynentalnym. Toteż niezbyt uzasadnione wydają się obawy, że Ameryka w przyszłości może "budować" na Niemcach. Ameryka będzie w Europie budowała na Anglii, trwałego ani daleko idącego poparcia Niemcom nie da.

AMERYKA I ROSJA

Jedynym mocarstwem, które może w sposób groźny dla Ameryki wyjść na oceany, jest Rosja. Sowiety mogą pokazać się na przeciwległym brzegu obu oceanów. Ponadto Sowiety są jedynym groźnym sąsiadem — poprzez biegun. Jest to sąsiedztwo zasadniczo lotnicze, ale wedle relacji prasy francuskiej sztab amerykański liczy się także z możliwością ofensywy polarnej przy użyciu arktycznych szczepów syberyjskich, nie tylko drogą powietrzną. Wreszcie Sowiety są tym krajem, który stanowi zasadniczą przeszkodę dla wprowadzenia wolnej przedsiębiorczości i wolnej wymiany w świecie. Polityka zagraniczna Stanów Zjednoczonych nastawiona być musi głównie na Sowiety.

Nie będziemy tu się zastanawiali nad pasjonującym, ale mało twórczym tematem, czy i kiedy będzie wojna amerykańsko-sowiecka. Interesuje nas tu zagadnienie ważniejsze w gruncie rzeczy, a mianowicie czego Ameryka chce od Rosji, co by zrobiła, gdyby mogła jej narzucić swą wolę. Otóż Stany Zjednoczone dążą do celu, który by może najkrócej można było określić jako bezpieczeństwo mórz i w ogóle bezpieczeństwo swobodnej wymiany światowej. Bezpieczeństwo Ameryki od strony mórz i jej przewaga na oceanach nie są zagrożone bezpośrednio przez flotę sowiecką. Są zagrożone pośrednio przez ustawiczną groźbę podboju zewnętrznego czy wewnętrznego wiszącą nad państwami leżącymi na europejskim wybrzeżu Atlantyku. Widmo czer-

wonego sztandaru, w którymkolwiek dużym porcie atlantyckim, czy to w Norwegii, czy we Francji, czy w Portugalii spędza sen z powiek Amerykanom. Zrobiliby więc wszystko co w ich mocy, by zniszczyć Komintern, osłabić armię czerwoną i odepchnąć ją od Lubeki na wschód, z drugiej zaś strony zlikwidować komunistów chińskich i odebrać Rosji co jej przyznał Roosevelt, tj. północną Koreę, Sachalin i Kuryle. Z tymi celami organicznie powiązany jest cel może najważniejszy dla Amerykanów, tj. otwarcie Rosji dla handlu amerykańskiego i zaprowadzenie w świecie zasady względnie wolnego handlu.

Mówiąc bardziej obrazowo, każdy rząd rosyjski, któryby wyrzekł się rewolucji światowej, wycofał z Europy zachodniej, Persji i Chin i otworzył granice Rosji dla swobodnej wymiany towarów, mógłby liczyć na zawarcie z Ameryką trwałego pokoju. W razie konfliktu zbrojnego z Sowietami, Stany będą zapewne szukały takiego rządu i starały się jak najszybciej zawrzeć z nim pokój i rozpocząć handel. Jest bardzo nieprawdopodobne, by po doświadczeniach w Chinach i Niemczech Amerykanie chcieli okupować na dłużej jakąkolwiek część terytorium sowieckiego. W związku z tym jest mało prawdopodobne, by poszli na program rozczłonkowania Rosji, wymagający przecież długotrwałej interwencji. Znowu nasuwa się analogia z dawną polityką angielską: po wojnach napoleońskich Anglicy nie poszli na rozczłonkowanie ani wielkie okrojenie Francji, lecz zadowolili się oderwaniem od niej nabytku rewolucji — dawnych austriackich Niderlandów i przyłączeniem ich do "pewnej" Holandii oraz osadzeniem we Francji rządu konstytucyjno-monarchicznego życzliwych sobie Burbonów. Podobnie nie dała Anglia ucha sugestiom francuskim po pierwszej wojnie światowej, by rozbić jedność Niemiec. Mocarstwo morskie tego typu dąży przede wszystkim do przywrócenia ładu, względnej stabilizacji i warunków umożliwiających obrót światowy.

Między dawną Anglią a obecną Ameryką zachodzi jednak pewna różnica. Ameryka nie jest w tym stopniu co Anglia zależna od handlu zagranicznego. W jej życiu handel ten nie gra tak dominującej roli jak w życiu Anglii, jest znacznie bardziej samowystarczalna i ma większy rynek wewnętrzny. Może więc mniej troszczyć się o porządek w innych częściach świata, ale tym bardziej unikać będzie uwikłania się w ich sprawy i ograniczać się do zapewnienia sobie rzeczy najistotniejszych.

Do tych najistotniejszych należy bezpieczeństwo wybrzeży Atlantyku. Amerykanie przekonali się, że pas bezpieczeństwa obliczony w Teheranie po Lubekę i Triest był nieco za wąski, że nie zapewnia on bezpieczeństwa Francji, Holandii, ani co gorsza Anglii. Przypuszczać należy, że będą go się w przyszłości starali poszerzyć. Będą się starali posunąć go jak najdalej ku wschodowi, ale nie tak daleko, by sobie uniemożliwić przyszłą pokojową współpracę z jakąś Rosją. Ten pas bezpieczeństwa na wschód od państw wybrzeża atlantyckiego nie będzie pasem okupacji, czy nawet protekcji amerykańskiej. W pojęciu Amerykanów ziemie między Francją a Rosją miały być terenem neutralnym i tak zapewne wyobrażą oni sobie poszerzony pas bezpieczeństwa.

Wypływa z tego wniosek, że nie będą chcieli, aby państwa leżące w tym pasie miały zasadniczo złe stosunki z Rosją i były przez nią zagrożone. W każdym razie przypuszczać należy, że ostrzeżenie wyrażone pod koniec wojny przez głównego interpretatora prasowego polityki zagranicznej Stanów, W. Lippmanna, będzie i wówczas aktualne: "Zachęcanie narodów środkowej i wschodniej Europy do zorganizowania się jako bariery przeciw Rosji byłoby podjęciem zobowiązania, z którego Stany Zjednoczone nie mogłyby się wywiązać", choć w tym samym miejscu stwierdza on, że "nasze zainteresowania w głębi kontynentu europejskiego są pośrednie, związane z naszym interesem żywotnym tylko o tyle, o ile mają wpływ na nasze stosunki z . . . Rosją". Między tymi dwoma zdaniami mieści się większa część dylematu Polski.

ZBIGNIEW ABDANK

NĘDZA MARKSIZMU

RÓWNO sto lat temu Karol Marx pisal, w odpowiedzi P. J. Proudhonowi, swą *Nędzę Filozofii*.

Autorowi *Manifestu Komunistycznego* wydawało się, że za jednym zamachem, rozwiązał zagadkę bytu społecznego i wskazał rewolucyjne drogi przeobrażenia i oparcia jego rozwoju na nowych, tym razem ostatecznych bo naukowych, podstawach.

Wysokie przekonanie o naukowości swego dzieła czerpał Marx z autorytetu Ricarda, Rodbertusa, Fouriera, Saint-Simona a przede wszystkim Hegla. Pierwsi zwrócili jego uwagę na zagadnienia robotnicze i podsunęli gotową teorię pracy, jako jedynego twórcy wartości, ostatni wprowadzili go na wysokie i niepewne rusztowania dialektyki.

Objuczony tym socjalnym ekwipunkiem Marx, szybko wdrapał się na dach, skąd roztoczył się przed nim harmonijny bo nieruchomy obraz budowli, w której postanowił zamknąć, zamurować, życie.

Rozróżnijmy w doktrynie Marxa dwie cechy istotne dla każdego dzieła: nowość idei i jej logiczne opracowanie.

Dialektyka marksowska jest tworem Hegla, z tym, że autonomię idei (*Weltgeist*), której odźwierciadleniem są stosunki materialne, Marx odrzucił, głosząc autonomię techniki i jej wypadkową nadbudowę ideologiczną. Proces wyłaniania przez ustroje zarodków nowego życia, rozwijającego się w negacji do zastanej rzeczywistości, jest zastosowaniem podstawowego twierdzenia Hegla o syntezie, jako wyniku sporu między tezą a antytezą.

Zasadę walki klas poznał Marx u Rodbertusa (1842), który twierdził, że "nie ma nic bardziej konserwatywnego jak reformy, które godzą klasy i wzmacniają władzę państwową". On też głosił, że "wszelki towar kosztuje pracę i *tylko* pracę". Teorię nadwartości wziął od Ricarda, dowodzącego, że robotnik może otrzymać i otrzymuje jedynie minimum egzystencji, potrzebne do utrzymania siły jego mięśni. Całą resztę, rosnącą w miarę postępu technicznego, zabiera pracodawca. Jest to tzw. żelazne prawo pracy.

Konstruktywne podstawy społeczeństwa socjalistycznego, oparte znów były na myślicielach francuskich i angielskich, końca XVIII i początku XIX wieku, jak Babeuf, Owen, Fourier, Saint-Simon. Cała literatura wczesnego anarchizmu (W. Godwin, M. Stirner, P. J. Proudhon, Bakunin), atakująca własność prywatną i żądająca jej podziału lub zniesienia świadczyła też — na długie lata przed powstaniem "naukowego socjalizmu" — o doskonałej widoczności problemu, który pięknie i naiwnie rozwiązać usiłowali tzw. utopiści.

CO POZOSTAŁO

Cóż więc pozostaje z Marxa w marksizmie?

Zasada koncentracji kapitału, podział współczesnego społeczeństwa na dwie jedynie klasy burżuazji i proletariatu, no i . . . postulat rewolucji.

Dziś po stu latach byłoby wybijaniem drzwi otwartych dowodzenie, iż Marx całkowicie mylił się w prognozie koncentracji kapitału. Ewolucja własności poszła we wręcz przeciwnym kierunku. Oczywiście ewolucja w krajach zwanych przez marksistów kapitalistycznymi. Nastąpiło tam i trwa nieprzerwanie rozdrabnianie i upowszechnianie własności. Koncentracja zaś następuje lub nastąpiła jedynie drogą rewolucyjnego terroru w krajach, które siłą przystosowują rzeczywistość do tej doktryny. Przewidywanie Marxa o wchłonięciu włościaństwa i drobnego mieszczaństwa przez proletariat, sprawdziło się również jedynie w Rosji po rewolucji bolszewickiej. Wszędzie indziej nastąpił proces odwrotny, a mianowicie przeradzanie się proletariatu w klasy uwłaszczone.

Jedynie postulat rewolucji — postulat opanowania władzy i przebudowy społecznej zgodnie z jej interesami siłą, wbrew woli i interesom innych, pozostaje ciągle aktualnym i oryginalnym dorobkiem proroka z Trewiru.

Toteż nic dziwnego, że w miarę kruszenia marksizmu, tej "nadbudowy ideologicznej", przez życie, coraz to nowe a coraz to skromniejsze nadawano mu wymiary. Powstał dziesiątek szkół i metod, przyznających się jeno do fragmentów kapitału spadkowego Marxa. Często — wzorem mistrza — nie powołują się one nawet na źródła i głoszą sprzeczne z nim hasła.

Nie mówiąc już o kierunkach socjalnych przedmarksowskich, wymieńmy tu syndykalistów i angielskie gildy, zgodnych w całkowitym odrzuceniu nacjonalizacji i wrogich wzmacnianiu nawet gospodarczej ingerencji państwa. Krytyczni wobec "naukowego socjalizmu" są również uczeni angielscy, grupujący się wokół *Fabian Society*.

Zajadłą walkę od wieku już toczą też z marksizmem anarchiści. Zostali więc na placu komuniści i socjaliści, których dla ścisłości nazywajmy socjaldemokratami. Ci ostatni, na długo przed sformowaniem programu rewizjonistycznego przez E. Bernsteina, przejawiali w marksowskim gronie swój sceptycyzm w stosunku do nauki ortodoksyjnej. Dzisiaj byłoby też niełatwo zebrać kilkunastu socjalistów, zgodnych co do celu i metody swego ruchu.

ZANIKAJĄCA DOKTRYNA

Laburzyści angielscy, od początku, podkreślali swój negatywny stosunek do spekulacji Marxa. Wyrośli na ruchu zawodowym, w stałej i powodzeniem uwieńczonej walce o poprawę bytu poszczególnego robotnika i klasy tej jako całości, nie przyznają się oni dziś w większości do marksowskiego socjalikmu i cofają się przed pełnym upaństwowieniem przemysłu. Próżno usiłując wyzyskać poparcie robotników dla skuteczności swego

planowania, doprowadzili W. Brytanię do stanu takiego chaosu, że zdolność produkcyjna angielskiego przemysłu maszynowego przekracza możliwości dostawy stali, której znowu produkować by można więcej niż na to pozwala podaż węgla. Jeśli zaś w tej i innych podstawowych gałęziach przemysłu brak jest rąk roboczych, to dlatego, że uciekają one do lepiej płatnych lub łatwiejszych branż, gdzie brak ściślej kontroli cen, umożliwia rozwój i zyski. Socjalizm angielski, najmniej doktrynalny, najbardziej empiryczny i ostrożny, zdawać sobie zaczyna sprawę (po dwu zaledwie latach praktyki) z faktu, że nie gospodarka zależy od podziału dochodu, ale odwrotnie. W kraju, w którym zawsze uważano, że prawdziwy postęp oznacza przede wszystkim utwierdzenie wolności jednostkowej, poczyna nawet tzw. lewicowa opinia rozumieć, że urzeczywistnienie postulatów socjalistycznych pociągnęłoby za sobą nieuchronnie negację tej wolności i upaństwowienie człowieka.

Gospodarka planowa, tzn. odgórna i przymusowa, kontrolowana i kierowana przez państwo, nie może się obejść bez upaństwowienia środków produkcji, a co zatem idzie bez uzależnienia mas pracujących od państwa. Stwarza to dyktaturę biurokracji, wszystko obejmującej i wszędzie obecnej i kończy się na regulowaniu w takim kolektywnym państwie wszelkich funkcji społecznych i ludzkich w ogóle przez urzędników. Obywatel codzień dowiaduje się co mu jeszcze wolno, a co już jest zakazane. Przy wielości pracodawców szukać może ratunku w ich zmianie. Wobec monopolu pracodawcy jest bezsilny. Nic dziwnego też, że herezja dosięgła już cytadeli socjalizmu, Niemiec. Ta ostoja drugiej międzynarodówki, niemiecka socjaldemokracja (SPD) rozejrzawszy się wśród gruzów swej ojczyzny, zamiast korzystać z wyjątkowej okazji budowania na nich socjalizmu, ujrzała potrzeby i program nie klasy a człowieka.

Projekt konstytucji wirtemberskiej, opracowany przez socjaldemokratę C. Schmidta głosi: "Lud Wirtembergii i Badenii, mając ufność w Boga nadaje sobie tę konstytucję, jako wyraz wiary w godność i wieczne prawa człowieka". By zaś nikt nie wątpił, że chodzi tu nie o niepoczytalny wyskok, ale przemyślane refleksje, uzupełnijmy to wyznanie oświadczeniem szefa frakcji socjaldemokratycznej W. M. Hamburga, Ericha Klabunde. W referacie w sprawie socjalizacji, przedstawionym na żądanie władz brytyjskich, Klabunde mówi: "Socjalizację całkowitą trzeba zasadniczo odrzucić. Zadaniem socjalizacji jest usunięcie tych kapitalistycznych pozycji w gospodarce, które są zarazem politycznie wątpliwe i charakteryzują się monopolistyczną eksploatacją". Dotyczy to — zdaniem Klabundego — jedynie kopalń, produkcji żelaza, stali i metalu, chemii podstawowej, wielkich stoczni i produkcji energetycznej. Wszystko inne "z zasadniczych, a nie taktycznych względów" winno być z socjalizacji wyłączone, ponieważ "w gospodarce socjalistycznej przypada tym działom wartościowa i konieczna funkcja". Klabunde idzie jeszcze dalej sprzeciwiając się mieszaniu polityki (denazyfikacja) do gospodarki. Ponadto nie zamierza on bynajmniej upaństwawiać, ale przelać własność wywłaszczonych przedsiębiorstw na spółdzielnie, fundacje, spółki akcyjne itd.

Tu już znajdujemy się całkowicie poza socjalizmem.

Socjaliści angielscy nie chcą pełnej nacjonalizacji, niektórzy socjaliści niemieccy nie chcą nawet planowania. I jedni i drudzy walczą z rewolucją. Czegóż tedy chcą oni innego od tych, którzy zawsze uważali, że własność jest funkcją społeczną i że szanujący się naród nie dopuści, by mając pod dostatkiem węgla i żelaza, maszyny jego stały z braku napędu?

Długie lata ludzie dobrej woli chciwie i chętnie nastawiali ucha, gdy mówiło się o międzynarodowej solidarności, choćby "proletariatu" na początek. Było w tym haśle coś z tradycji chrześcijańskiej.

Doświadczenia wieku wykazały, że solidarność pozostała cnotą zespołu narodowego, czasem obejmowała kilka narodów wobec wspólnego wroga, nigdy jednak — w najmniejszym stopniu — nie cechowała klasy tam, gdzie stawała ona oko w oko z obcym. Głowa i serce socjalizmu, jak nazywano niemiecką socjaldemokrację, pierwsza dawała przykład solidarności narodowej i pierwsza deptała solidarność "proletariacką". Broniła do ostatka granic cesarstwa niemieckiego i broniła i broni granic Trzeciej Rzeszy.

Jakże żałosny jest dziś widok socjalizmu zachodniego, wstydzącego się szukać jawnie oparcia tam, gdzieby go znaleźć mógł, a wyciągającego ustawicznie rękę — coraz brutalniej odtrącaną — ku rewolucji, obcej jego myśli i sercu?

Jakże żałosny jest widok socjalizmu wschodniego, liżącego pięści wyciskające z robotnika i chłopa, to wszystko co posiadał i zdobył.

Przebrzmiała, przewaliła się przez kilka pokoleń doktryna. Pozostało zniekształcone przez nią życie. Otępiałym marksizmem ludziom życzyć trzeba, by znaleźli równie szybko drogę powrotu, jak życie znajdzie formy na swój obraz i podobieństwo.

WSCHÓD I ZACHÓD

Przedostatni międzynarodowy kongres socjalistów w Zurychu w dniach 6-8 czerwca 1947 r. skończył się — jak wiadomo — dwoma niedomówieniami. Nie zdecydowano ani sprawy powołania do życia II Międzynarodówki, ani przyjęcia do grona "międzynarodowego socjalizmu" socjaldemokracji niemieckiej. Pierwszą sprawę odłożono do kongresu grudniowego, a co do drugiej nie zdolano osiągnąć potrzebnej większości. Przeciw przyjęciu partii niemieckiej głosowały wszystkie delegacje socjalistyczne z krajów Europy wschodniej oraz Szwajcaria. Stanowisko szwajcarskie dyktowane było wyłącznie względami na politykę zagraniczną własnego kraju (neutralność wobec wszystkich i wobec wszystkiego) i nie miało nic wspólnego z doktryną partyjną. Stanowisko zaś partii zza kurtyny było zwiastunem tego rozłamu między "socjalizmem zachodnim" a "socjalizmem wschodnim", którego świadkami jesteśmy obecnie.

Przygotował go już kongres partii socjalistycznych sfery sowieckiej, który miał miejsce w maju ub.r. w Budapeszcie. Współpraca "partii robotniczych" została na nim podniesiona do godności dogmatu obowiązującego i podkreślona została szczęśliwa okoliczność budowania ludowej demokracji dzięki harmonii łączącej socjalizm z komunizmem w tym dziele.

Pod koniec października koncesjonowana PPS wystąpiła z usłużnym wnioskiem utworzenia "socinformu", na tych samych co "kominform" zasadach. Była to niedwuznaczna przygrywka do zbierającej się właśnie w Brukseli komisji międzynarodowej, powołanej przez kongres zurychski celem opracowania nowego statutu dla II Międzynarodówki. Ponieważ głównym powodem, dla którego nie doszło do jej utworzenia już w Zurychu była obawa, by nie utrudniło to sytuacji "towarzyszy" ze wschodniej Europy, inicjatywa warszawska stanowi wyraźne zerwanie z próbami socjalizmu zachodniego nawiązania współpracy partyjnej w skali światowej.

Nie wiadomo na razie jakie będą losy obu tych prób. Wiadomo jednak z całą pewnością, że doszło do rozłamu nie tylko w skali międzynarodowej, ale, że socjalizm popękał nawet organizacyjnie w poszczególnych krajach.

ROZKŁAD ORGANIZACYJNY

We Włoszech grupa Nenniego przystąpiła do inicjatywy warszawskiej podczas, gdy grupa Saragata nic o niej słyszeć nie chce.

Oświadczenie KW socjalistów Nenniego w sprawie jedności działania z komunistami, wywołało nowy kryzys wewnątrz partii. Ivan Matteo, Lombardi, Carmagnola protestowali przeciw "zamaskowanej fuzji z komunistami". Formuła "dwie partie — jedna polityka" okazała się "najradykalniejszym nieodwolalnym wyrokiem na partię socjalistyczną".

Odrębną znowu grupę formuje Silone, domagając się w *Europa Socialista* autonomicznego socjalizmu włoskiego.

Jeśli francuska SFIO markuje jeszcze jedność socjalizmu w tym kraju, to nikt, choć trochę orientujący się w stosunkach, nie będzie chciał twierdzić, iż można tam mówić nie tylko o jednej taktyce, ale nawet o wspólnych zasadach. SFIO trzyma się jedynie kurczowo rządu, wiedząc, że odepchnięta — na dzień jeden choćby — od rządzenia nie odnalazłaby już nigdy samej siebie.

Wzór dyscypliny demokratycznej i robotniczej zarazem, jaką była angielska Labour Party, szybko zużywa swe siły. Są tam tacy, co po inspiracje sięgają do Moskwy, ale są i inni, którzy ratunku oczekują i na niego liczą tylko zza Atlantyku. Nie trzeba być prorokiem, by przewidzieć niebezpieczeństwo rekryminacji, jakie w łonie tej partii nastąpią po pierwszych przegranych wyborach.

Jednolita dotychczas przynajmniej w politycznej części swego programu — socjaldemokracja niemiecka, była widownią bardzo przykrego sporu między dawnym i nowym "wodzem". Wiekowy Loebe musiał ustąpić przed impetem Schumachera, widzącego przyszłość socjalizmu w swoim kraju jedynie w ostrej walce z komunizmem. Ponieważ część socjaldemokratów wyznaje program współpracy ze Wschodem, nie sposób uważać posunięcia Loebego za odosobnione potknięcie.

Trzyma się jeszcze — jako tako — socjalizm skandynawski, choć do dziwnych praktyk tego obrządku przyjdzie nam zaraz powrócić.

Jeśli na Zachodzie nie można lub trudno jest mówić o jedności organizacyjnej socjalizmu, to na Wschodzie mamy już teraz do czynienia z organami szczątkowymi socjalizmu

Na Węgrzech istnieją trzy zwalczające się zacięcie grupy. Choć niechętnie widziany, ale tym bardziej lojalny jest szef partii Arpad Szakasits, narzędzie komunistów w "bloku demokratycznym". Trudne ma on zadanie wobec opozycji prowadzonej przez Istwana Riesa, który chciał już ustąpić z rządu po wyborach na znak protestu przeciw oszustwom. Popiera tę opozycję grono, wybitnych dawniej, socjalistów węgierskich z Perl, Antal Banem, Wilhelmem Buhmem i Anną Kethly na czele. Po rozłamie wykrystalizowało się prawe skrzydło z b. szefem partii Peyerem i Gyorki na czele. Ci organizują się pod hasłem większej samodzielności partii i zerwania z tzw. jednością robotniczą.

Podobna sytuacja jest w Rumunii. Lewi socjaliści Stefan Voitec i Lothar Radocianu trwają w rządzie Grozy. Niezależna socjaldemokracja, która wyłamała się przy wyborach listopadowych w 1946 r. prowadzona przez O. Petrescu stoi przed likwidacją. Wszystko to zaś razem reprezentuje aż 65.528 głosów!

W Bułgarii na 2.262.000 głosów komunistycznych, otrzymała socjaldemokracja zblokowana dosłownie 78.000 głosów.

O socjaliźmie w Jugosławii rozmawiać można jeszcze tylko z byłymi jej przywódcami na emigracji.

W Czechosłowacji jesteśmy właśnie świadkami dramatu partii. Były przewodniczący

dr Fierlinger, lawirujący od dwu lat między partią a komunistami, autor sojuszu sowiecko-czeskiego i koalicji "demokratycznej" w Pradze, musiał ustąpić pod naciskiem dołów. Zrobił on miejsce Bohumilowi Lausmannowi, o którym jeszcze będzie mowa.

Tak wygląda organizacja "naukowego socjalizmu". Przyjrzyjmy się teraz jego doktrynie.

WRÓG NA LEWO?

Długie lata obowiązywała maksyma "Wróg jest tylko na prawo". Już przed wojną, ale przede wszystkim po wojnie partie socjalistyczne życzliwie widziały w parlamentach europejskich towarzyszy komunistycznych. Tzw. rozwiązanie "kominternu" w maju 1943 r. powitały jako triumf własny i obwieściły: "Okres walki braterskiej jest zamknięty. Zaciekłe walki ćwierćwiecza należą już do przeszłości. Główna przeszkoda ideologiczna i organizacyjna jedności robotniczej znikła!" (*Arbeiter Zeitung* — Basel z 29.V.43).

Cóż mówią socjaliści dzisiaj?

Populaire z 15.XI.47 wzywa w uroczystej odezwie do walki z komunizmem, "którego polityka zmierza do zniszczenia". Komuniści dążą do "uniemożliwienia odbudowy krajów"*) Wicekanclerz Austrii, towarzysz Adolf Schar mówi na kongresie partii (30.X.47) o konieczności "absolutnej demokracji", co w jego rozumieniu oznacza blok z partią ludową celem walki z komunizmem.

Do skupienia się wokół sztandarów socjalistycznych wzywają też wyborców socjaliści austriaccy. Ci mają choć pewien tytuł do tego. Oskar Pollak na łamach *Wiener Arbeiter Zeitung* pisze: "Rosyjski blok interesów Związku sowieckiego ale nie proletariatu światowego, ani socjalizmu" i dalej: "Rosja to nie socjalizm".

Świeżo obrany prezes KW czeskiej socjaldemokracji B. Lausmann w mowie z 10.IX.47 (po której zaraz zresztą musiał się podać do dymisji ze stanowiska min. przemysłu) oświadczył: "Obywatele tego kraju muszą żyć wolni od strachu, od strachu przed widmem bolszewizmu".

Cóż, kiedy obok tych głosów socjalistycznych odcinających się jaskrawo od komunizmu i stwierdzających istnienie "wroga na lewo" — obok licznych zwłaszcza za kurtyną deklaracji "jedności drogi" z partiami komunistycznymi i zachwytu nad "nową drogą" do socjalizmu, istnieją jeszcze niezdecydowani. Ci marzą np. tak: "Siłą, która uznając wolność człowieka pragnie zarazem odnowienia społeczeństwa — siłą zarazem naprawdę demokratyczną i rewolucyjną jesteśmy my, socjaliści" (O. Pollak). Podobnym realizmem politycznym nacechowane są rozważania seniora socjalizmu serbskiego (na emigracji oczywiście) dr Jirko Topolowica, który rok temu (27.VI.46) pisał: "Nasza droga, droga wewnętrznego pojednania była jedynie słuszna. To jest też droga naszej dzisiejszej polityki". I czescy socjaldemokraci są zadowoleni z siebie, jak wynika z manifestu KW partii z dn. 18.X.47, skierowanego "do wszystkich ludzi dobrej woli". Dowiadujemy się zeń, że "socjaldemokracja czeska nie potrzebuje się łączyć z żadną inną (partią), gdyż polityka jej i zasady okazały się słuszne i potwierdzone przez rozwój wypadków". Tak, dosłownie "potwierdzone przez rozwój wypadków". "Dążymy do odnowienia współpracy wszystkich partii socjalistycznych w bloku narodowym." A dalej, chytrze: "Życzymy sobie też socjalistycznej współpracy na gruncie narodowym z komunistami, a na gruncie międzynarodowym z socjalistami". W Pradze ze Stalinem, w Paryżu z Blumem, w Londynie w Bevinem. Z Nennim też. Z każdym!

Są więc Czesi mniej wybredni niż towarzysze niemieccy. Ci na kongresie SPD w Norymberdze oświadczyli przez usta Friedricha Stempfera: "Socjaldemokracja niemiecka woła pełną piersią pragnącej nam pomocy Ameryce: Jesteśmy!".

"IN MEZZO NON SI SISTA"

Tak samo, choć z biegunowo innym wnioskiem rozumuje Nenni. "In mezzo non si sista" (w środku nie ma już miejsca). "Czas na dwuznaczne formuły minął. Dla ludzi naszego czasu nie ma i nie będzie już politycznej idylli. Masy kierują się raczej instynktem niż męczącą rozwagą zmęczonych polityków. Zrozumiały one, że trzeba się zdecydować na jedno lub drugie."

Ale H. C. Hansen (uczeń "wielkiego" Stauninga) wzywa wyborców duńskich na drogę środka, która "będzie zarówno oddalona od gospodarstwa planowego, jak i całkowitego usunięcia reglamentacji". Towarzysz Hansen wie co mówi. W wyborach w r. 1945 socjaliści stracili połowę mandatów na skutek radykalnej, planowej oczywiście, gospodarki, którą prowadzili chcąc się podchlebić komunistom. Orientując się w zmianie nastrojów mas, przestawili całkowicie swój "program" i to tak całkowicie, że dziś trudno by było doszukać się w nim jakichkolwiek obietnic socjalistycznych.

Ci uniknęli "niebezpiecznej biegunowości", spędzającej sen z powiek innego towarzysza Saragata. Ten Włoch obawia się, że biegunowa polityka znajdująca wyraz w krystalizowaniu się bloku prawicowego i lewicowego utrudnia obronę demokracji. Towarzysz Saragat przejrzał więc niebezpieczeństwo dla demokracji z lewa i woli jej bronić niż "programu". Że nie jest to jedyny na świecie socjalista, który widzi dalej, przekonują nas głosy z tego socjalnego laboratorium, jakim dziś są Niemcy.

Ośmiu socjaldemokratycznych ministrów gospodarki krajów Bizonii, uchwaliło w dniu 13.VI.47, że "reforma pieniądza jest niezbędna dla podniesienia produkcji, zabezpieczenia zagospodarowania i odrodzenia funkcji rynkowych". Socjaldemokraci niemieccy pragną odrodzić funkcje rynku, to znaczy wrócić wolnemu kształtowaniu się cen kierowniczą rolę w gospodarce!

Dr Rudolf Zorn (b. bawarski minister gospodarki z ramienia SPD), wybitny ekonomista socjaldemokracji, pisze: "Nowoczesny socjalizm uznaje wolność gospodarki jako konieczność życiową, uznaje przedsiębiorcę — jak długo nie staje się monopolistą — uznaje własność prywatną, także środków produkcji z wyjątkiem przemysłów kluczowych".

Szef norweskiej socjaldemokracji Sunnamaa atakuje niesłychanie ostro (19.X.47) politykę socjalistycznego planowania, prowadzoną przez towarzysza Gerhardsena. Mówi, że przyniosła ona całkowite fiasko gospodarcze Norwegii, której same zyski z floty powinny wystarczyć do stabilizacji waluty, zagrożonej obecnie przez "nieodpowiedzialną gospodarkę" socjaldemokracji.

Tak wygląda dzisiejszy socjalizm!

Nic też dziwnego, że grudniowy kongres socjalistyczny w Antwerpii stał się wyrazem tego chaosu, jaki panuje w organizacjach terenowych i nastrojach mas. Jak w krzywym zwierciadle odbiły się w nim bezprogramowość, bezradność i brak decyzji co do tych wszystkich tematów, które stanowią o uniwersalizmie.

Z wyjątkiem przyjęcia socjaldemokracji niemieckiej do międzynarodowego grona, uchwały świadczącej jedynie o rezygnacji z prób porozumienia z socjalizmem wschodnim, nie powzięto żadnej decyzji. Wszystko jest ucieczką przed odpowiedzialnością, wszystko jest wyczekiwaniem "dojrzenia sytuacji". Styczniowe posiedzenie londyńskie wyłonionego w Antwerpii Komitetu Socjalistycznego zdecydowało zwołać osobny zjazd socjalistów zachodnich dla poparcia planu Marshalla, nie zrywając równocześnie z socjalistami Wschodu.

W dzisiejszej, nabrzmiałej faktami chwili, w momencie, gdy ważą się losy nie krajów ale całej już cywilizacji, socjalizm czeka.

To oczekiwanie nie jest i nie może być niczym innym, jak rezygnacją, jak świadomością bezsiły.

---

*) W kilka dni potem Komitet Wykonawczy SFIO zalecał porozumienie z MRP i chrześcijańskimi związkami zawodowymi, jako jedyną drogę zwalczania komunizmu. Tym razem jednak zwalczają go nie dlatego, że "niszczy" i "uniemożliwia", ale dlatego, że "toruje drogę gen. de Gaulle do władzy". Kapitalne wręcz jest zakończenie odezwy, gdzie mówi się o "oszczerczych, kłamliwych i polemicznych metodach komunizmu" i wzywa "wszystkich wprowadzonych w błąd przez propagandę komunistyczną, który przejrzeli do połączenia się z SFIO" (uchwała z 28.X.47). Partia, która doprowadziła Francję do stanu katastrofy, partia, która nie chciała brać udziału w rządach bez komunistów przez dwa lata, teraz — po szkodzie zmądrzawszy, rości sobie pretensje by skupić wkoło siebie żywoły antykomunistyczne!

WITOLD NOWOSAD

NOWY BAYARD

Nad trumną generała Leclerca

PRZYTŁOCZENI osobistymi i narodowymi nieszczęściami, troskami i zmaganiami, za mało zwracamy uwagę na fakt, iż żyjemy w epoce dziejowej zupełnie wyjątkowej, że patrzymy szeroko otwartymi oczami na wydarzenia istotnie niezwykłe, na które pokolenia poprzednie musiały czekać dziesiątki i setki lat. Oto pierwszy raz od czasów napoleońskich w naszym zasięgu wzroku zabłysła na horyzoncie legendy historycznej gwiazda sławy wojennej młodego generała francuskiego Leclerc'a, jednego z głównych bohaterów wojskowych drugiej wojny światowej.

W swym rozkazie żałobnym do wojska francuskiego generał De Lattre de Tassigny porównał Leclerc'a z młodym konkurentem Napoleona Desaix i z młodym generałem wojsk pierwszej republiki Hoche'm. Wydaje się wszakże, iż po porównania trzeba sięgnąć wyżej, a równocześnie głębiej, w historię Francji. Jak legendarny rycerz "bez trwogi i zmazy" Bayard z początku 16 stulecia, choć nie był naczelnym wodzem, zdobył sobie niezwykłą sławę u szerokich rzesz Francuzów i w całej ówczesnej Europie dzięki swej odwadze, lojalności i wierności swemu królowi, tak Leclerc, ukochany przez swój naród za cnoty żołnierskie, pozostał wierny swej ojczyźnie w dobrej i złej doli nawet wtedy, gdy tylu mężnych zwątpiło i zachwiało się. Jak Bayard niezłomny, zginął podobnie jak Bayard stosunkowo młodo *en service commande*. Ale jego gwiazda świeci nadal w krainie żołnierskiej legendy, tej właśnie, którą żywią się od wieków narody wyrosłe z europejskiej cywilizacji. Ponieważ tyle w ciągu wojny ostatniej mówiono (słusznie i niesłusznie) o upadku i wyczerpaniu biologicznym Francji, sądzimy, że jest rzeczą właściwą dla należytej oceny narodu wielkiego, choć borykającego się dziś z niebywałymi trudnościami — przypomnieć społe-

czeństwu polskiemu, iż naród ten wydał z siebie jedną z najpiękniejszych postaci żołnierza — patrioty w wieku XX. Taki naród nie powinien lękać się żadnej przyszłości.

Filip Franciszek de Hautecloque zwany Leclerc, pochodził ze starej rodziny arystokratycznej o tradycjach wojskowych, z północy Francji, podobnie jak de Gaulle. Urodzony w r. 1902 w departamencie Somme nie brał udziału w 1 wojnie światowej z powodu zbyt młodego wieku; ukończył jako jeden z pierwszych słynną szkołę wojskową w St. Cyr w r. 1924. Odtąd będzie kończył wszystkie szkoły i kursy jako jeden z pierwszych, pozostając pomimo swych wyjątkowych talentów człowiekiem skromnym, wesołym i niezwykle koleżeńskim. Wysłany do Afryki jako młody porucznik, zwraca swymi zdolnościami tak bardzo uwagę tamtejszego dowódcy gen. Giraud, iż tenże powierza mu dowództwo oddziału mającego walczyć ze zbuntowanymi plemionami marokańskimi w r. 1930. De Hautecloque szarżuje z szablą w dłoni, wygrywa potyczkę, jest cytowany po raz pierwszy w rozkazie dziennym całej armii. Jest to pierwsza bitwa Leclerc'a, oczywiście wygrana; ten żołnierz nigdy w swym życiu nie przegrał żadnej bitwy, ani potyczki: taka widocznie świeci nad nim gwiazda!

Kiedy wszakże wybucha druga wojna światowa w r. 1939, gdy de Gaulle zostanie wkrótce wiceministrem wojny, a De Lattre jest już generałem — nikt prawie jeszcze we Francji nie zna młodego kapitana de Hautecloque, który ukończył wprawdzie szkołę sztabu głównego, ale zajmuje w chwili najazdu Niemców na Francję stanowisko (o ironio losu!) wojskowo-administracyjne. W tym charakterze w anarchii ówczesnej i rozkładzie państwa, dostaje się de Hautecloque w maju i czerwcu 1940 r. dwukrotnie do niewoli niemieckiej, z której dwukrotnie szczęśliwie ucieka. Za fałszywym paszportem (jak tylu wówczas polskich żołnierzy) przechodzi przez granicę francusko-hiszpańską, aby przez Lizbonę dotrzeć do Londynu i stanąć jako jeden z pierwszych u boku gen. de Gaulle w szeregach "wolnych Francuzów". Wtedy to, aby chronić żonę i sześcioro dzieci, pozostałych we Francji pod rządami Vichy, przybiera jako *nom de guerre* nazwisko Leclerc, które miało mu zapewnić niezwykłą sławę.

Wysłany na angielskim samolocie w lecie 1940 r. do Douala w Kamerunie (Afryka Równikowa) z trzema towarzyszami w ciągu kilku dni dokonuje zamachu stanu, więzi gubernatora wiernego rządowi Vichy, opanowuje w nocy Brazzaville z potężną radiostacją i oddaje całą Afrykę Równikową, tzn. obszar większy od Francji, gen. de Gaulle i Komitetowi "wolnej Francji". Wtedy to świat posłyszał pierwszy raz o majorze Leclerc, który umożliwił przywódcy "wolnych Francuzów" swobodne rządy na części imperium francuskiego. Jeszcze zaś wcześniej ogłosił swoje przystąpienie do de Gaulle'a gubernator obszaru Czad w sercu Afryki, Murzyn francuski, niezwykle inteligentny i odważny Feliks Eboue. Oto dwaj pierwsi polityczni towarzysze de Gaulle'a, jakby dla pamiątkowego obrazu: arystokratyczny oficer i Murzyn, wychowany w Bordeaux. Obaj ci ludzie postanawiają w czasie, gdy de Gaulle po nieudałej wyprawie na Dakar musi w Londynie ciężko walczyć o uznanie swego Komitetu na terenie międzynarodowym — rozpocząć działania wojenne w Afryce imieniem Francji wolnej. Pułkownik Leclerc na czele ochotników francuskich z Afryki, z Syrii i z Anglii, mając nieco starej broni pancernej i dwa działa 75 wbrew radom angielskim uderza śmiałym wypadem na mocny garnizon włoski w Trypolitanii, na Kufrę. Zwycięstwo "wolnych Francuzów" jest zupełne: ku wściekłości Mussoliniego Kufra pada w pierwszych dniach marca 1941 r. Włosi uciekają lub idą do niewoli, a Leclerc dokonuje rzeczy na pozór dziwnej: gromadzi swe zwycięskie wojska na dziedzińcu twierdzy i składa przysięgę przed sztandarem trójkolorowym, że nie złoży broni, póki sztandar francuski nie zawiśnie na wieży katedralnej w uwolnionym od Niemców Strasburgu. Jest to wiosna 1941 r.: żelazne wojska niemieckie, sprzymierzone z włoskimi, przy życzliwej neutralności Sowietów, panują nad całą prawie Europą od Atlantyku do Bugu i właśnie zamierzają opanować Bałkany. Tylko Anglia i polskie wojska bronią wówczas honoru świata. A jednak przysięga młodego pułkownika będzie wykonana: taka świeci nad nim szczęśliwa gwiazda! Zdobycie Kufry napełniło otuchą wszystkich Francuzów, wierzących w zwycięstwo koalicji. Leclerc, skazany już uprzednio na śmierć przez trybunał wojskowy zależny od Vichy — zostaje teraz mianowany generałem przez de Gaulle'a. Ma lat trzydzieści dziewięć.

Nadchodzą decydujące lata wojny; kiedy Montgomery po przełamaniu frontu niemieckiego pod El Alamein w 1942 r. pędzi wojska Rommla i Włochów na zachód, zmotoryzowana kolumna Leclerc'a wciąż ze sprzętem niedostatecznym uderza od południo-wschodu na Trypolis. Przerażona ludność włoska i Niemcy. widzą w styczniu 1943 r. wjeżdżające triumfalnie czołgi nie tylko angielskie, lecz także francuskie z krzyżem lotaryńskim, do miasta Trypolisu. Ale pościg trwa nadal. Zwycięstwo Leclerc'a nad "Afrika Korps" pod Ksar Ghilane, zajęcie Gabes w marcu i Tunisu 9 maja 1943 r. Leclerc zawsze uśmiechnięty, z legendarną zakrzywioną laską, w kepi pustynnym, często na czele kolumny, drwiący z niebezpieczeństwa, zostaje w maju 1943 r. generałem dywizji.

Po reorganizacji swych wojsk i stworzeniu w Tunisie 2 dywizji "wolnych Francuzów", która włączona w skład armii amerykańskiej stanie się słynną 2 dywizją pancerna (2 D.B.) — Leclerc ląduje w sierpniu 1944 r. we Francji. Bierze udział w przełamaniu niemieckiego frontu pod Avranches i uwalnia Alencon, zamykając potrzask w jakim znaleźli się Niemcy. Gwiazda szczęścia wojennego świeci nad nim, jak zwykle. Któż to wyjaśni, dlaczego właśnie on miał honor w przedniej straży armii amerykańskiej od południa śmiałym rajdem dotrzeć do Paryża i wesprzeć powstańców tamtejszych, walczących w stolicy? Któż opisze uczucia tak spokojnego zawsze generała, gdy z hali dworca Montparnasse kierował walką o stolicę, lub patrzył na szalejących z radości paryżan? To pewne, że od 25 sierpnia 1944 r., od chwili uwolnienia Paryża, Leclerc był po de Gaulle'u najpopularniejszym człowiekiem we Francji.

Nie spoczął na laurach w stolicy, bo przysięga z Kufry czekała na wypełnienie. Po zwycięstwie pod Dompain, uwalnia Baccarat, a w listopadzie kieruje walką o Strasburg. Dnia 23 listopada 1944 r. trójkolorowy sztandar zatykają żołnierze Leclerc'a na katedrze strasburskiej, a generał zmęczony, noszony na rękach przez Alzatczyków, pisze wzruszający list do ministra wojny, iż teraz "ziemia może mu się rozewrzeć pod nogami", zadanie jest spełnione. Ale historia i legenda nie czekają; jeszcze 2 dywizja pancerna stoczy w zimie zaciekłe boje o Kolmar i na wiosnę przejdzie z Amerykanami Ren. Mianowany generałem korpusu armii Leclerc ma to szczęście, że jego oddział zajmuje w maju 1945 r. Berchtesgaden i na "orlim gnieździe" Hitlera, skąd złowroga siła teutońska wysyłała rozkazy mordu i zagłady, powiewa dumnie sztandar francuski; czarny samochód osobisty Hitlera zostanie sprowadzony jako łup wojenny do Paryża.

Leclerc nie ma czasu po zwycięstwie nad Niemcami korzystać z tak przecie zasłużonego odpoczynku w gronie rodziny. Już w czerwcu 1945 r. zostaje dowódcą francuskiego korpusu ekspedycyjnego do Indochin, w tym charakterze bierze udział obok Mac Arthura w akcie kapitulacji japońskiej w porcie Jokohamy, wkracza w październiku 1945 r. do Sajgonu, a w marcu 1946 r. do Hanoi, ratując dla Unii Francuskiej Indochiny. Po powrocie do Francji w lecie 1946 r. zostaje generałem armii i otrzymuje "medal wojskowy", najwyższe odznaczenie wojskowe. Posiada ponadto Wielki Krzyż Legii Honorowej.

Mianowany inspektorem generalnym sił lądowych, morskich i powietrznych w Afryce Północnej ginie w dość tajemniczym wypadku samolotowym, w czasie burzy piaskowej na Saharze pod Colomb — Bechar 28 listopada 1947 r. Ma lat czterdzieści pięć. Pochowany na koszt państwa w krypcie Inwalidów 8 grudnia 1947 r. obok Turenne'a, Napoleona I, Foche'a, największych wodzów Francji.

Taki jest życiorys "Bayarda XX stulecia". Przywykliśmy (i słusznie) w ciągu ostatnich dwu wojen światowych czcić szczególnie "Nieznanych Żołnierzy," nieznanych męczenników konspiracji i obozów koncentracyjnych, walczących z wrogiem bez oczekiwania na sławę, takich, którzy w polskim zbiorku anonimowych wierszy wydanym konspiracyjnie w Kraju "Wierne płomienie" pisali:

"Trzeba zacząć na nowo — zaczniemy
trzeba ginąć na nowo — to cóż?
Niech nas całych pochłonie grób niemy
Będziem stosem paliwa dla zórz!".

Kiedy patrzyliśmy w smutny dzień pogrzebu generała na ową najpiękniejszą w świecie perspektywę w Europie, która od Luwru poprzez łuk Carrousel i obelisk na Placu Zgody, Pola Elizejskie, prowadzi do wielkiego Łuku Triumfalnego, którędy szedł kondukt żałobny — wtedy nasuwała się nieodparcie myśl, że takie życie i taka śmierć nawet stanowią silne węzły łączące nas wszystkich, nie tylko Francuzów, z cywilizacją europejską. Generał Leclerc, odznaczony przez rząd polski krzyżem Virtuti Militari — nie należał do "politycznych generałów", choć ze swymi przekonaniami politycznymi, raczej umiarkowanymi, a na pewno antykomunistycznymi — nie krył się nigdy. Uważał wszakże, że sama służba żołnierska wystarcza, że przez nią najlepiej służy ojczyźnie. Toteż rozdarta wewnętrznie Francja u jego trumny była pomimo strajków na ogół zjednoczona. Taka jest jeszcze pośmiertna zasługa Leclerc'a.

Dobrze, aby Polacy o tym człowieku "bez trwogi i zmazy" pamiętali w czasach, gdy w walkach politycznych, a może wojskowych, będziemy mieli jeszcze zapewne obok siebie Francuzów jako towarzyszów broni.

JÓZEFA RADZYMIŃSKA

PIĘTNO

I

Pocisk, nim zgładził wieże mego miasta,
biegł długo drogą ognia, znaczoną palcem Boga—
i był apokalipsą, albo klątwą wieku,
która młodym powstańcom piętnowała czoła.

II

On, chciwie zapatrzony w zastrachanych ludzi,
którzy byli jak karty poszarpanej książki,
On — opętany grozą — wśród nocy obudził
wygnanego powstańca o uciętej dłoni.

I groził wygnanemu, struchlałemu sercu —
obczyzną i powolnym, tułaczym konaniem,
i potrząsał skrwawioną ręką,
zostawioną na barykadzie.

III

Albowiem mówi Pan,
że los nasz pozostanie twardy i bolesny,
aby wypełnił się cud wolności,
która piętnuje nam czoła.

FRANCISZEK STRZAŁKO

Galerie Londynu i Paryża

OKRES wojny był okresem wielkiego postu dla bywalców galerii sztuk plastycznych. Wszystkie ważniejsze muzea we wszystkich państwach, biorących udział w wojnie, były pozamykane, a dzieła sztuki powywożone do miejsc uznanych za bezpieczne. Zbiory National Gallery w Londynie, jednego z najbogatszych muzeów świata, umieszczone były w schronach podziemnych specjalnie do tego celu przystosowanych, w kamieniołomach Manod w Walii. Zbiory wiedeńskie poumieszczano w skarbcach wielkich banków w Wiedniu, w opactwie Klosterneuburg, w klasztorze Kartuzów w Gaming oraz w kopalniach soli w Laufen w górnej Austrii. Te ostatnie okazały się przypadkowo idealnym pomieszczeniem na skład.

Już jednak w 9 dni po ustaniu działań wojennych londyńska National Gallery ściągnęła ze schronów walijskich 54 obrazy i wystawiła je na widok publiczny, a liczba ta niebawem się zwielokrotniła. Czynniki miarodajne stanęły na słusznym stanowisku, że naród, który przez 6 lat pozbawiony był możności oglądania swych najlepszych obrazów, ma prawo zacząć znów delektować się nimi bezzwłocznie. Zdaje się, że żadne wielkie zbiory w Europie nie zostały tak szybko udostępnione dla publiczności z wyjątkiem Rzymu, gdzie jeszcze w czasie wojny, we wrześniu 1944 r. zorganizowano w pałacu Weneckim wystawę malarstwa włoskiego od średniowiecza po wiek XVI. Pokazano na niej obrazy z najrozmaitszych muzeów włoskich, nie wyłączając Mediolanu i Wenecji, które wówczas były jeszcze w posiadaniu państw Osi. Nie zapomnę wrażenia jakie zrobiła na mnie ta wspaniała wystawa, pierwsza, którą oglądałem po wielu latach przerwy.

Dziś już wszystkie muzea są pootwierane, a obok normalnego pokazu stałych zbiorów zorganizowano w ostatnich czasach szereg wystaw specjalnych. W obecnej chwili do najważniejszych wydarzeń w Londynie zaliczyć należy wystawę tzw. obrazów oczyszczonych w National Gallery i zbiorową wystawę Van Gogha w Tate Gallery; w Brukseli otwarto w Palais des Beaux Arts wystawę malarstwa francuskiego od Davida do Cezanne'a, w Paryżu zaś w Petit Palais wystawę zbiorów wiedeńskich, które uprzednio wystawione były w Brukseli.

Tzw. obrazy oczyszczone w National Gallery nie stanowią żadnego nowego nabytku lub depozytu. Są to obrazy, które od lat należą do galerii, a które w ostatnich czasach poddano oczyszczeniu, usuwając przede wszystkim stary pożółkły werniks. Tam, gdzie uznano to za wskazane, przeprowadzono również restaurację samego malowidła. By obrazy w ten sposób doprowadzone do porządku nie raziły świeżością barw wśród innych, pokrytych jeszcze tzw. patyną, postanowiono zebrać je razem i wystawić osobno w ilości 88 w specjalnie odnowionych a dotąd zamkniętych salach galerii.

Obecne oczyszczenie nie było pierwszym, jakiemu obrazy były poddane, tym niemniej był to w wielu wypadkach pierwszy tego rodzaju zabieg od kilkudziesięciu a czasem nawet od 100 lat. W dodatku obecna akcja oczyszczania i restauracji przeprowadzona została przy wykorzystaniu wszelkich najnowocześniejszych pomocy technicznych.

Wszystkie próby doprowadzenia obrazów do porządku, zarówno w przeszłości jak obecnie, spotykały się zawsze z głosami krytyki, nieraz bardzo gwałtownej. Największą dyskusję ozpętał portret Filipa IV pędzla Velazqueza, ukazujący króla w całej postaci, tzw. Filip brunatny i srebrny. Krytyk artystyczny *Daily Telegraph* ubolewał m. in. nad zniknięciem naturalnej patyny czasu, tymczasem jednak restauracja umożliwiła uznanie tego portretu za niewątpliwe i to doskonałe dzieło Velazqueza, podczas gdy poprzednio na skutek uszkodzeń nie można było tego z całą pewnością stwierdzić.

Tak zwana patyna, w obronie której tak często dotąd występowano, jest niczym innym jak starym pożółkłym werniksem i to nieraz werniksem nałożonym zaledwie przed kilkudziesięciu laty. Żółtość jego zniekształca często całą kompozycję obrazów, jak np. w bukiecie kwiatów van Huysuma, który zamierzał niewątpliwie umieścić najjaśniejsze barwy w środku obrazu. Tymczasem znajdujące się tam białe kwiaty stały się brunatne skutkiem czego najsilniej wystąpiły poumieszczane na zewnątrz kwiaty o barwie żółtej i szkarłatnej. Cała więc kompozycja barwna została wypaczona.

Dawni mistrze sami doskonale zdawali sobie sprawę ze zniszczeń jakie czas może poczynić. Przesyłając szkic do dużego obrazu przeznaczonego do pałacu Pitti we Florencji, pisze Rubens w roku 1638 do swego rodaka Suttermansa, nadwornego malarza we Florencji: "Obawiam się, że na świeżo namalowanym obrazie, który tak długo był w opakowaniu, barwy mogą zblaknąć a w szczególności tonacje ciała i części białe mogą nieco pożółknąć". Hogarth najwybitniejszy spośród wcześniejszych malarzy angielskich XVIII wieku w pracy swojej *The Analysis of Beauty* zwalcza gwałtownie i przekonywująco rozpowszechnione za jego czasów mniemanie, że czas "poprawia" obrazy. Autor zwraca uwagę, że poszczególne farby z biegiem czasu ciemnieją, jaśnieją, lub całkiem się zmieniają. Przypuszczać by wszystkie te różnorodne i nieprzewidziane zmiany mogły odpowiadać intencjom artysty byłoby absurdem. Reynolds, przywódca następnego pokolenia malarzy angielskich ostrzega swych uczniów w roku 1769, by nie wytwarzali sobie fałszywego wyobrażenia o kolorycie dawnych mistrzów na podstawie obrazów, które są często zmienione przez brud i werniks.

Celem akcji podjętej przez National Gallery jest doprowadzenie obrazów w miarę możności do tego wyglądu, jaki nadali im w swoim czasie ich twórcy. Jeśli przeprowadzane zabiegi przyczyniają się rzeczywiście do osiągnięcia tego celu (a wszystko przemawia za tym, że tak jest w istocie), to nie można im nic zarzucać.

Jest godne podkreślenia jak dalece bliżsi naszym współczesnym upodobaniom i bardziej nam zrozumiali stali się niektórzy dawni mistrze po przeprowadzonej akcji oczyszczania. Tak *Sąd Parysa* Rubensa swym jasnym kolorytem oraz bogactwem i różnorodnością plam barwnych przywodzi na myśl niektóre rzeczy Renoira. Wyczuwa się jakąś więź wspólnoty między tymi dwoma przedstawicielami tak odległych epok. Gdy oglądałem niedawno w Paryżu w Muzeum Impresjonizmu *Kąpiące się kobiety* Renoir'a z ostatniego okresu jego twórczości, mimo woli pomyślałem sobie, że przecież to rasowy Rubens, tylko w nowej współczesnej interpretacji.

Dzięki zabiegom National Gallery na brunatno-żółtych pejzażach Holendrów ukazało się znowu czyste, niebieskie niebo, a w sławnej *Kąpiącej się kobiecie* Rembrandta wystąpiły tak bardzo potrzebne i uzasadnione chłodne tony, których istnienia przedtem trudno się było nawet domyślać.

Należy życzyć sobie, by i pozostałe obrazy zostały doprowadzone do porządku z podobnymi wynikami oraz, by niektóre muzea kontynentu poszły za przykładem National Gallery.

* * *

Często słyszy się zdanie, że Paryż przestaje być duchową stolicą Europy i nie odgrywa już tej roli co dawniej. Chwilami zdaje mi się, że ocena taka jest nieco przedwczesna. W każdym razie, jeśli chodzi o sztuki plastyczne, odnosi się wrażenia, że Paryż nie łatwo da sobie wyrwać berło. "Salony" odbywają się normalnie w przewidzianych porach; w lecie ub. roku można było oglądać niezwykle bogatą wystawę średniowiecznego malarstwa flamandzkiego, której eksponaty sprowadzone zostały z Belgii, wystawę Maillol'a i nowo otwarte Muzeum Impresjonizmu. Obecnie obok wystawy urządzonej z okazji 50-lecia Towarzystwa Przyjaciół Luwru, Paryż posiada nie byle jaką atrakcję artystyczną w postaci goszczących w Petit Palais zbiorów wiedeńskich. Umieszczone tam obok wystawy malarstwa francuskiego sprawiają one, że Petit Palais jest w tej chwili jednym z najbogatszych muzeów świata.

Oczywiście tylko wybrana część obiektów posiadanych przez muzea wiedeńskie mogła dotrzeć do Paryża. Kunsthistorisches Museum, czyli dawne muzeum cesarskie w Wiedniu, które wypożyczyło swe eksponaty, stanowi jeden z największych skarbców sztuki w Europie i zajmuje stanowisko równorzędne obok takich muzeów, jak londyńska National Gallery, Louvre, Watykan, Prado, lub Uffizi we Florencji.

Początków powstania słynnych muzeów wiedeńskich dopatrywać się można w XVI wieku w testamencie Ferdynanda I, który postanawia, że jego kolekcja (jest więc wyraźnie mowa o pewnej *całości*) zjednoczona i niepodzielna przechodzić będzie na "pierworodnego naszego domu". Niedługo potem cesarz Rudolf II gromadzi na zamku swoim w Pradze największe zbiory swego czasu, była to jednak w pierwszym rzędzie kolekcja osobliwości. Większa jej część uległa rozgrabieniu przez Szwedów w roku 1647.

W połowie XVII w. arcyksiążę Leopold Wilhelm, gubernator hiszpańskiej części Niderlandów, założył na swym zamku w Brukseli bogatą i wartościową galerię obrazów. Leopold wychowywał się w Hiszpanii i kształcił swój smak na obrazach Tycjana i Tintoretta, które jego przodkowie Karol V i Filip II zgromadzili w Madrycie i Eskurialu. Stąd zbiory wiedeńskie posiadają jakby rodzinne podobieństwo z galerią Prado. Podkreślić należy rzecz niezwykłą na owe czasy: Leopold Wilhelm nabywa obrazy średniowiecznych mistrzów flamadzkich, jak van Eyck, Roger van den Weyden, van de Goes i Memling. Jest to dowodem, jak bardzo wszechstronne były jego zainteresowania. W przeciwieństwie do zbiorów Rudolfa II, które, choć zawierały znaczną ilość obrazów, były jednak w istocie tylko "gabinetem ciekawostek i osobliwości", kolekcja Leopolda miała wszelkie cechy nowoczesnej galerii obrazów, podobnego typu jak ta, która wcześniej nieco powstała na dworze Karola I, króla Anglii.

Wracając do Wiednia w r. 1656 Leopold zabrał z sobą swe zbiory i jego to możemy uważać ze właściwego twórcę galerii wiedeńskiej.

Około roku 1718 za cesarza Karola VI pozbierano co lepsze obrazy z różnych zamków cesarskich, dołączono je do galerii po Leopoldzie i umieszczono w jednym ze skrzydeł pałacu cesarskiego w Wiedniu. Obrazy posegregowano wg *rozmiarów, kompozycji i kolorytu* i wkomponowano w dekorację ścian, tak że stały się one integralną częścią składową wnętrz.

Wykorzystując kasatę zakonu Jezuitów Maria Teresa i jej kanclerz ks. Kannitz zakupili w Belgii szereg obrazów ołtarzowych Rubensa, które łącznie z obrazami tego artysty uprzednio już znajdującymi się w zbiorach cesarskich utworzyły jedną z najważniejszych, najbardziej zróżniczkowanych kolekcji.

Po śmierci Marii Teresy zbiory sztuki przeniesiono do Belwederu, pałacu zbudowanego przez ks. Eugeniusza Sabaudzkiego na południowych przedmieściach Wiednia. Zabytki podzielono *chronologicznie* i wg *szkół* i udostępniono publiczności by mogły służyć "dla nauki raczej niż dla przyjemności" (katalog z 1783 r.) i by stały się "widzialną historią sztuki".

W roku 1891 wszystkie zbiory cesarskie połączono w nowym obszernym gmachu Muzeum Historii Sztuki (Kunsthistorisches Museum). W czasie ostatniej wojny gmachy te uległy poważnym uszkodzeniom i trzeba będzie w najlepszym razie 3 lub 4 lat zanim zbiory będą mogły powrócić na swe dawne miejsca. Niewątpliwie okoliczność ta wpłynęła na to, że ci, dla których Wiedeń w tej chwili jest niedostępny, mają możność popatrzyć na *Cnotliwą Zuzannę* Tintoretta i zajrzeć do pracowni malarskiej Vermeera w salach paryskiego Petit Palais.

PRZEGLĄD WYDAWNICTW

SZKICE PIÓRKIEM

Jan Bielatowicz: PASSEGIATA, SZKICE WŁOSKIE. *Rzym* 1947. *Instytut Literacki.* Stron 109.

Bardzo trudno zaklasyfikować tę książkę: reportaż? impresje? wspomnienia? szkice? Sam autor nazywa to szkicami i może ma rację. Szkic jest notatką artysty zrobioną na gorąco, ale jest zarazem zarysem, planem, zapowiedzią jakiejś kompozycji. *Passegiata* to szkicownik wspomnień włoskich poety. Szkice są w różnym stylu, nie stanowią jedności artystycznej. Ale właśnie może w tym odskakiwaniu niektórych rozdziałów jest potrzebne przerwanie jednolitej nuty, by nie stała się nużąca, może one właśnie najbardziej przyczyniają się do ogólnej harmonii kompozycyjnej całości.

Okładkę zewnętrzną i wewnętrzną książki zdobią szkice piórkiem Westfalewicza. Ilustracje te niezwykle pasują do charakteru *Passegiaty*. Przechadzka (bo taki jest sens włoskiego słowa tytułowego), to właśnie szkice piórkowe. Z dala wydaje się: miła błahostka, z bliska dostrzec można delikatną harmonię linii, niedociągnięcia i przeciągnięcia, niewiadomo na ile niezamierzone, a na ile umyślne dla podkreślenia szkicowości.

Pisanie wrażeń włoskich jest przedsięwzięciem śmiałym — tak trudno nie chodzić po Italii wydeptanymi przez innych ścieżkami. Co prawda Bielatowicz poznawał Włochy w sposób dla dawnych autorów raczej niezwykły, bo od Sycylii i niosąc przed sobą zniszczenie. Ale rezygnuje on całkowicie z ułatwienia, jakieby dawało przedstawienie tego cudnego kraju oczami najeźdźcy dwudziestego wieku. Jego szkice są zupełnie pokojowe, ostatnia wojna występuje w nich na równi z dawnymi wojnami jako element historyczności krajobrazu. Historyczność spojrzenia, splecenie estetyki z tradycją tworzą odrębny ton autora, nowe odchylenie kąta widzenia, kąt widzenia polskiego humanisty dwudziestego wieku. Bo Bielatowicz jest przede wszystkim humanistą. Właśnie nie poetą ani historykiem ani krytykiem ani estetą ani żołnierzem ani prozaikiem ani naukowcem, ale wszystkim tym potrosze z dodatkiem tego czegoś, co tworzy prawdziwego humanistę, miłośnika życia. Do jakiego zaś kraju bardziej pasuje styl humanistyczny niż do Italii? To usprawiedliwia autora i daje mu tytuł do naszej uwagi.

Książka składa się z dziewięciu szkiców: o konfiguracji Włoch, o Neapolu, Capri, Monte Cassino, Anconie, San Marino, Bolonii, Rzymie, o winie włoskim. Pierwszy szkic jest niewątpliwie najsłabszy: linie zarysu są pogmatwane, język przestylizowany. Neapol natomiast jest żywy i bezpośredni, poetycki i z rzeźwiącą odrobiną humoru. Najlepszy chyba jest szkic o Rzymie. Dlatego może, że najszczerszy, najbardziej ludzki. Autor bowiem, jako humanista, jest wrażliwy na piękno natury, pełen podziwu i zrozumienia dla pomników przeszłości ale zainteresowany prawdziwie i gorąco tylko człowiekiem, jego życiem i rolą. Zarówno człowiekiem przeszłości jak i teraźniejszości, po prostu człowiekiem i jego życiem.

We współczesnej literaturze europejskiej prawie zanikł rodzaj literacki zwany prozą (nad czym tak ubolewał w Anglii Belloc). Otóż Bielatowicz pisze prozą poetycką. Pisze ładnie, ale nie dociąga. Nie trafił na styl właściwy swemu pokoleniu, nie jest dostatecznie w tym dziale nowy. Ulega nie tyle wielkiemu echu pokolenia dziadków: Żeromskich i Berentów, co pokoleniu ojców: Nowakowskich i Makuszyńskich i temu tonikowi egzaltacji jaki stanowi ich wdzięk i słabość zarazem. A szkoda, bo gdyby tak solidnie popracował nad wytworzeniem własnego stylu prozy . . . Bo tam gdzie pisze najprościej, najmniej ulegając reminiscencjom, jest najlepszy.

Prawdziwym wdziękiem Bielatowicza jest humanistyczne radowanie się życiem. O winie pisze z prawdziwą miłością i znawstwem, choć jest w tej dziedzinie niedokształcony, jako że nie żył w kraju najwyższej kultury winnej, w *France la doulce*. Z iście naukową pasją zajmuje się klasyfikacją kilkunastu rodzajów traktierni włoskich a rzucane w każdym prawie rozdziale uwagi o specjałach danego miejsca wskazują, że nawet w czasach wojen atomowych istnieje jeszcze uroda życia zmysłowego. Leon Daudet napisał piękną książeczkę poetycką o potrawach, która została w literaturze francuskiej i przetrwa tam zapewne wszystkie pisma polityczne i nowele autora. Może doczekamy tych szczęśliwych czasów, że na półkach księgarskich w Polsce ukaże się kiedyś poetycka gastronomia Bielatowicza.

Autor z koleżeńskim uśmiechem wita wszędzie ślady dawnych ludzi a zwłasza dawnych artystów i wojowników. Wszędzie też widzi ślady polskie, żywe ludzkie ślady poetów i i żołnierzy, którzy szli tak bardzo w rytmie Europy a tak odrębnym krokiem. Nie obco było literatom Drugiego Korpusu w towarzystwie poetów Wielkiej Emigracji i żołnierzy Legionów. I nigdzie bodaj Polacy nie czuli się w ostatniej wojnie tak swojsko jak we Włoszech, nigdzie nie zżywali się tak dobrze z tłem.

Z POEZJI STAROARABSKIEJ

ANTAR — największy poeta arabski doby przedmuzułmańskiej. Czarny niewolnik, tylko dzięki wielkiemu talentowi wydobył się z niewolnictwa, zyskał sławę i mienie. Opiewa często ukochaną Ablę, która stała się jego natchnieniem. Przełożony wiersz opisuje cmentarz z jej grobem.

ANTAR
(525-615)

OGRÓD MIŁOŚCI

O, nad ogrody ogrodzie miłości — w kwiatach i cieniu !
Wspomnienie twoje rozkoszą ciało przenika i mami,
gdy oto teraz na starość w liliowej szaty wtuleniu
siedzę i pluszcze mi źródło — Abla, spowita różami.

Gdy słucham życia melodii, co z ech i dźwięków nadbieży,
a dusza pierzcha na wzgórze, by codzień Ablę spotykać,
gdy nadal walczę w marzeniu z zawistnych hufem rycerzy
i, zwyciężywszy, zasypiam — szczęśliw, żem mógł się potykać.

U źródła kierdel dzwonkami w południe budzi mnie skwarne ;
rzeźwię się — spływa kochania śpiew, łzy i radość ma w sobie.
Byś, Ablo, miłość wspominała, kwiat na wezgłowie ci garnę,
przemieniam róże w pląśniczki, by ci umilić pogrobie.

Wstań, Ablo : miłość nam wskrześnie, ogrodów wonie powiodą —
a mnie niech wiew ukołebie pośród róż twoich nad wodą.

Przetłumaczył

ANTONI BOGUSŁAWSKI

Przecie jedną z postaci charakterystycznych Rzymu wojennego był . . . Jan Bielatowicz, poeta, żołnierz i humanista, kochający życie, wino i historię.

W.W.

PROGRAM WELLESA

SUMMER WELLES: WHERE ARE WE HEADING? *Hamish Hamilton, London*, 1947. Stron 328. Cena 15s.

Summer Welles był doradcą i przyjacielem prezydenta Roosevelta, jeździł z misją dyplomatyczną do Europy na początku 1940 r., był jednym z współtwórców Karty Atlantyckiej w sierpniu 1941 r. i chociaż usunął się od czynnej polityki, jest jeszcze dziś w St. Zjednoczonych jednym z jej czołowych przedstawicieli. Książka jego jest dobrym streszczeniem wydarzeń ostatniej wojny i przypomina nam główne wytyczne polityki anglosaskiej, podawane z takim rozgłosem przez codzienną prasę. Znajdujemy w niej źródło haseł, za pomocą których kieruje się wielkimi zespołami demokratycznymi i wymaga od nich ofiar w czasie wojny.

Dedykacja książki uderza jednak od samego wstępu w nutę pesymistyczną. Summer Welles wyraża w tej dedykacji nadzieję, że jego wnuk — Aleksander będzie mógł "w swoim pokoleniu cieszyć się czterema swobodami (Karty Atlantyckiej), do których nasze pokolenie dąży tak uciążliwie". Sam tytuł książki: "Dokąd idziemy?" przypomina mimo woli powieść Sienkiewicza "Quo Vadis?", opisującą upadek cywilizacji rzymskiej.

Summer Welles jest tak rozbrajająco szczery w krytykowaniu tego co się stało, że tą szczerością wprowadza w błąd czytelnika. Hipokryzja jego, czy też brak twórczości w myśleniu polegają na tym, że poddaje się biegowi wydarzeń z rodzajem fatalizmu, albo wini ludzi drugorzędnych.

Do pobicia Niemców, wedle Welles'a, umowy, podpisane na spółkę z Rosją pełne były szczytnych i ogólnikowych frazesów, a nie określały technicznych i praktycznych szczegółów wspólnego działania. O jednym tylko nie zapomniano w Jałcie, to jest o linii demarkacyjnej terenów okupowanych przez wojska sowieckie. Roosevelt wierzył w dobre intencje Stalina, w swój czar osobisty i dar argumentowania; sądził, że Rosja znajduje się na drodze ewolucyjnej, prowadzącej do umiarkowanego socjalizmu i że na podobnej drodze leży przyszłość kapitalistycznych Stanów. Stalin był podpisał Kartę Atlantycką, a zresztą, dodaje Summer Welles, pod koniec swojej książki: "Nie zdawaliśmy sobie sprawy z zamiarów i celów polityki rosyjskiej". Ciężarem swoich zarzutów obarcza Summer Welles, Trumana, a szczególnie podsekretarza stanu Byrnes'a, choć rola ich już była podobna do roli spadkobierców, którzy odziedziczyli zrujnowany majątek. Byrnes swoją skłonność do kompromisu posunął najdalej jesienią 1945 r. w Moskwie. Tam wyrzekł się zobowiązań odnośnie do wolnych wyborów w państwach Europy wschodniej. Summer Welles opłakuje również "największy błąd polityczny w karierze Churchilla", a mianowicie jego sojusz z komunistą Titą w Jugosławii. Te smutne doświadczenia nie osłabiają w nim przekonania, że Rosja powinna dalej uczestniczyć w zespole Zjednoczonych Narodów.

W sprawach dotyczących Europy Wschodniej, rozbrat u Wellesa między szlachetnością ogólnych haseł, a zastosowaniem ich do rzeczywistości, jest jeszcze bardziej uderzający. O integralności Turcji pisze inaczej, niż o granicach polskich. Jeśli chodzi o Polskę albo przemilcza fakty, albo podaje je nieściśle; w zatargu o Kars i Ardachan powołuje się na wolę ludności i podaje precyzyjnie daty traktatów rosyjsko-tureckich. Jeżeli prawo międzynarodowe ma coś znaczyć, to traktat podpisany w Rydze między Polską a Sowietami w 1921 r. musi obowiązywać na równi, jak traktat podpisany między Rosją i Turcją w tymże roku. Summer Welles cytuje ustęp z mowy ministra tureckiego Saradżoglu: "Jasne jest również, że ci profesorowie (sowieccy) nie znają historii, ani w przeszłości, ani w teraźniejszości. W najlepszym razie starają się oni naśladować hitlerowski lebensraum, albo są ofiarami choroby, która tylko prowadzi do przelania krwi niewinnych ludzi etc.".

Jaką jednak znajomością historii może się poszczycić Summer Welles jeśli pisze na str. 104. "Część terytorium ustąpiona przez Polskę Sowietom, dawna wschodnia Polska, to kraj przeważnie zamieszkały przez Słowian, pragnących przyłączenia się do Sowietów. Są to części Polski, w których przeważała wielka własność i w których uboga ludność nie miała żadnej nadziei poprawienia bytu, a tym bardziej bytu swoich dzieci. Nikt nie słyszał tam o demokracji, w przeciwieństwie do uświadomionej i postępowej ludności Karsu i Ardachanu". Summer Welles widocznie nigdy nie słyszał, albo słyszeć nie chciał o obrońcach Lwowa w 1919 r. i o głosowaniu posłów wybranych w demokratycznych wyborach, a pragnących włączenia Wilna do Polski w r. 1922.

JAN RAJECKI

DOBRY KALENDARZ

KALENDARZ NA ROK 1948. *Quakenbrueck* 1947. *Nakł. Wyd. "Nowiny"*. Stron 143.

Emigracja polska podzielona jest na szczelnie od siebie pooddzielane grupy krajowe. W Brytanii nie można znaleźć nabywców dla książek polskich, w Niemczech panuje głód słowa polskiego. Polaków jest tam wprawdzie więcej niż w Brytanii, ale procent ludzi wykształconych znikomy. Mimo to książki idą jak woda.

Redakcja zamkniętych przez Mil Gov. *Nowin* wydała w końcu ubiegłego roku kalendarz w formie książkowej. 20.000 nakładu rozeszło się natychmiast i przed nowym rokiem potrzebny był nowy nakład. Świadczy to zarówno o braku polskich kalendarzy jak i o popularności wydawnictwa.

Kalendarz ma szatę zewnętrzną niezwykle skromną, papier i druk wręcz podły. Jest natomiast ułożony z dużym sensem. Po terminarzu podającym na każdy dzień patronów katolickich, idą wykaz świąt ruchomych na parę lat, wykaz świętych z datami, wykaz imion słowiańskich, wykaz lekcji i ewangelii na rok, wiadomości geograficzne i astronomiczne, horoskopy, miary, kalendarzyk historyczny, życiorys Prezydenta R.P., dane o Polsce współczesnej a dalej dział przepisów prawnych obowiązujących Polaków w Niemczech: małżeństwa, praca, sądownictwo angielskie, niemieckie i polskie, informacje prawne o IRO, wreszcie adresy instytucji i związków polskich, redakcji pism, księgarń, obrońców sądowych, biur poszukiwań w Niemczech, Anglii i innych krajach gdzie zamieszkują Polacy a szczególnie w tych, do których kieruje się emigracja z Niemiec.

Pod względem treści jest ten kalendarz niewątpliwie lepszy od wszystkich ukazujących się na terenie Wielkiej Brytanii. Jego popularność w Niemczech jest zatem zupełnie zasłużona.

P.J.

Złóż datek

na dzieci i młodzież polską

w Niemczech

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO

STOSUNEK DO ZIEM WSCHODNICH PROBIERZEM POLITYKI POLSKIEJ

Wśród wielu zdewaluowanych pojęć okresu powojennego ocalało wśród Polaków głębokie przeświadczenie o konieczności dalszej walki do momentu, w którym o losie Polski stanowić będą Polacy, a Polską nazywać się będzie to, co z tym pojęciem łączy nasza historia, nasza kultura, nasz elementarny interes narodowy.

Stosunek do Ziem Wschodnich jest częściowo emocjonalny, ogromna bowiem część wychodźtwa wojennego tam miała swój dom rodzinny, swoją najbliższą ojczyznę. Byłoby jednak niewybaczalnym błędem upraszczać sobie pogląd na polskie dążenia powrotu do zrabowanych ziem — sentymentem tylko. Wojna ostatnia dała bowiem lekcję poglądową i to w sposób nieskomplikowany, freblowski niemal, czym dla wolności narodu i struktury państwa polskiego są Ziemie Wschodnie z dwoma potężnymi, ostatnimi bastionami Zachodu: Wilnem i Lwowem. Od tych terenów zaczęło się wszystko, co dziś spędza sen z powiek nie tylko Polaków. Sięgnięcie bowiem po tę część Rzeczypospolitej było jednocześnie początkiem polityki deptania umów, naruszenia równowagi politycznej, podcięcia europejskiej struktury cywilizacyjnej, to tam był początek "tworzenia rządów" dla narodów, którym to prawo odebrano pod pozorem ratowania pokoju i w ogóle tego, "co się da uratować". Nie uratowano niczego. Gdy dziś w listach z Polski rodziny przeszmuglowują między słowami swą pamięć o Wilnie, Lwowie, Nowogródku i Stanisławowie, to nie po to, żebyśmy nie podejrzewali ich o utratę pamięci — to na dowód, że te sprawy są integralną częścią postawy narodu, który zławać się nie dał i nie da. To także wskazówka dla nas — w kręgu wolności osobistej żyjących — że naród nie osłabł w swej nadziei przyszłego zwycięstwa.

Stąd polityka polska na emigracji słusznie ze stosunku do Ziem Wschodnich czyni probierz politycznej dojrzałości i lojalności wobec narodu. Nie to jest ważne kto ile lat na emigracji przebywa i kto skąd pochodzi — z Poznania, czy z Wilna. Mamy bowiem przed oczami przykłady i wystąpienia publiczne, które pochodzą od ludzi niedawno z Polski przybyłych. Myślimy o Mikołajczyku i jego partyjnych kolegach, których pobyt w Polsce niczego nie nauczył, tak, jak np. niczego nie może nauczyć ex-generała Wojsk Polskich—Paszkiewicza.

Wystąpienia podważające sprawę Ziem Wschodnich, jako jednego z głównych celów

naszej walki politycznej łączą się w sposób oczywisty z próbą podważenia legalizmu władz polskich i ich linii politycznej.

Zebranie zwołane przez Związki Ziem Wschodnich w niedzielę 5 stycznia 1948 do *Westminster Cathedral Hall* — było pierwszym w tym roku zbiorowym wystąpieniem polskim, w którym wolna część społeczeństwa, mówiąca za Kraj, stwierdza integralność niepodległości Polski i walki o państwo oparte na wschodzie o granicę ryską, na zachodzie zaś o — granicę na Odrze i Nisie.

Zebranie było publicznym świadectwem ciągłej aktualności tej sprawy w myśli społeczeństwa na wychodźtwie. W wypełnionej po brzegi sali słuchano przemówień przedstawicieli ugrupowań społecznych i politycznych o o najszerszym wachlarzu poglądów.

Rezolucja, odczytana przez p. Tadeusza Piszczkowskiego, prezesa Związku Ziem Południowo-Wschodnich stwierdza w zakończeniu:

"Granicą polską na wschodzie, o którą Naród Polski gotów jest walczyć do ostatecznych ofiar jest granica traktatu ryskiego, bez której Polska nie może być państwem niezależnym politycznie i gospodarczo. Od zasady tej nie może odstępować żaden obóz polski, bez względu na swój szczegółowy program jaki wyznaje. Zebrani wyrażają swój niepokój z powodu układu zawartego w Ameryce pomiędzy przedstawicielami Kongresu Polonii Amerykańskiej a p. Mikołajczykiem, występującym w charakterze prezesa PSL. Uważają oni, że droga do niepodległości prowadzi przez wyraźne i całkowite odrzucenie postanowień jałtańskich i wszelką inną platformę na wewnątrz obozu polskiego uznają za niedopuszczalną. W układzie Rozmarek-Mikołajczyk widzą oni niebezpieczny precedens kompromisów kosztem suwerennych interesów Polski oraz zachętę dla polityki samozwańczych grup politycznych, rozbijających jednolity front polski i osłabiających zbiorowy wysiłek odzyskania Polski całej i niepodległej".

Wszyscy mówcy w swych przemówieniach akcentowali konieczność łącznego traktowania sprawy Ziem Wschodnich z walką o wolne państwo. Niektóre przemówienia przypomniały założenia, na jakich polityka polska opierała swój program odbudowania państwa. W jednym tylko wypadku słuchacze na sali (a zapewne i sami organizatorzy) mogli mieć wrażenie, że słyszą kogoś przemawiającego przed laty 30 i w sprawie, która przestała dawno społeczeństwo interesować. Na szczęście ten akcent jakby żywcem wycięty z akademii "Strzelca" nie należał ani do części merytorycznej, ani istotnej zebrania.

Celem jego była manifestacja jednolitej postawy polskiej w zagadnieniu walki o Polskę całą — z Lwowem i Wilnem, ośrodkami zaatakowanej kultury europejskiej.

(T)

INAUGURACJA INSTYTUTU KULTURY POLSKIEJ

Dnia 9 stycznia b.r. odbyło się w sali *Polish Research Centre* w Londynie otwarcie nowej instytucji polskiej, na powstanie której społeczeństwo emigracyjne długo czekało. Zwłoka ta jest zresztą najzupełniej zrozumiała, jeśli się zważy totalne zaangażowanie się Polaków w niedawnej wojnie, nienormalny obrót spraw i twardą walkę o byt, przed jaką stanęli ludzie, pozbawieni oczekiwanego spokoju i pracy we własnym kraju.

Trzeba bowiem stwierdzić, że w nowoczesnym tempie wydarzeń międzynarodowych — w tempie co rok, a czasem co pół roku, odwracanych "wskazań dla świata" — gubimy się i my, śledząc bardziej gorączkowo od innych ludzką szarpaninę. Rozmieniamy się na drobne zabiegi w oczekiwaniu wypadków najbliższych, na obliczenia miesięcy oddzielających nas od nowego "punktu zwrotnego". A jednocześnie cenny czas ucieka. W dziedzinie kultury narodowej mamy spustoszenia tak wielkie, że przeciętna wyobraźnia i codzienna pamięć, nie mogąc ich objąć — przechodzi niemal do porządku. Społeczeństwo w Kraju ma nie tylko ograniczone środki odrobienia i wyrównania strat, lecz na nowo poddane zostało procesowi, który w dziedzinie kultury i psychiki zamierza spowodować nowe spustoszenia. Dlatego też potrzeba wśród emigracji ośrodka publicznej wymiany myśli i pogłębienia kultury narodowej — stała się istotnie paląca. Stąd zapewne wielka frekwencja obecnych na otwarciu instytutu w obecności Pana Prezydenta A. Zaleskiego, premiera Bór-Komorowskiego, przedstawicieli wojska, organizacji politycznych i społecznych.

Minister prof. Folkierski w przemówieniu inauguracyjnym podkreślił znaczenie tej instytucji i jej rolę w czasach zagrożenia kultury polskiej, będącej jedną z najciekawszych kultur europejskich, powstałych na kresach naszej cywilizacji.

P. Michał Pawlikowski, dyrektor Instytutu, mówił o powtarzającym się w historii naszej kultury polskim ośrodku emigracyjnym, którego twórczość dla Kraju i za Kraj ma dziś duże znaczenie podobnie jak za czasów Wielkiej Emigracji.

Po przemówieniach inauguracyjnych prof. A. Żółtowski wygłosił prelekcję na temat: *Materializm filozoficzny*, przedstawiając dzisiejszy stan filozofii materialistycznej jako teorii naukowej; mimo pozorów "wygrania w polu" systemów politycznych opierających się o materializm, filozofia ta przegrywa "w sądzie" — w sądzie nauki i rzetelnej myśli, wypranej z propagandy.

P. Michał Pawlikowski zapowiedział dalszy ciąg prac Instytutu, to jest cykl najbliższych prelekcji i posiedzeń naukowych.

Nowej placówce społeczeństwo polskie w Londynie złożyło dowód zaufania — licznym przybyciem na otwarcie.

(T)

ZWIĄZEK PISARZY

Związek Pisarzy Polskich na obczyźnie powstał w lecie 1946 r. po cofnięciu uznania Pen Clubowi Polskiemu przez Pen Club Międzynarodowy, który według statutu uznaje tylko związki z siedzibą w danym kraju. Dla pisarzy na uchodźtwie przewidziano w Pen Clubie prawo należenia do organizacji Pen Clubowych w krajach ich pobytu.

Związek zgromadził więc wszystkich członków Pen Clubu Polskiego na obczyźnie (łącznie z oddziałami pozabrytyjskimi) oraz rozszerzył swe szeregi przez dopuszczenie pewnej ilości publicystów. Obecnie liczy około 80 członków.

Najważniejszymi organizacyjnymi zagadnieniami ubiegłej kadencji były: zewidencjonowanie członków oraz sprawa zakupu domu w Londynie dla pisarzy. Druga ta sprawa spowodowała zabiegi o środki finansowe, częściowo uwieńczone powodzeniem. Ważna ta sprawa jest jeszcze w toku.

Z zagadnień charakteru ogólnego na plan pierwszy wybiła się uchwała nie ogłaszania drukiem utworów w Kraju. Została ona spowodowana zabiegami agentów reżimu, aby pozyskać niektórych pisarzy do współpracy z wydawnictwami kontrolowanymi. Uchwała ta, po dłuższym jej omówieniu z innymi zrzeszeniami intelektualistów polskich w W. Brytanii, została przedstawiona przez zarząd na Nadzwyczajnym Walnym Zgromadzeniu w dniu 14 czerwca ub. r. i uzyskała w głosowaniu jednomyślność. Nie podważyła jej akcja prowadzona przez prasę reżimową w Kraju. Na dorocznym Walnym Zgromadzeniu dn. 14 grudnia ub. r. w Londynie, ponowne staranne omówienie sprawy nie przyniosło zmiany stanowiska i utrwaliło uchwałę.

Na tymże zebraniu udzielono absolutorium ustępującemu zarządowi i wybrano nowy w składzie niemal tym samym. Zarząd stanowią: St. Stroński (przewodniczący), St. Baliński (zastępca przewodniczącego), A. Bogusławski, G. Herling-Grudziński, J. Kisielewski, M. Lisiewicz, H. Naglerowa, T. Nowakowski (sekretarz), A. Piskor (skarbnik), T. Terlecki, K. Wierzyński (USA), S. Zahorska i Z. L. Zaleski (Francja).

W programie Związku jest urządzanie imprez literackich i odczytów. Działalność ta była i jest w pełnym biegu.

ZWIĄZEK DZIENNIKARZY

13 grudnia odbył się doroczny zjazd Związku Dziennikarzy R.P. przy udziale delegatów syndykatów z Francji i Niemiec. Dyskusja dotyczyła głównie działalności samego Zarządu Głównego. Najwięcej uwagi poświęcono sprawom międzynarodowej organizacji wolnego dziennikarstwa, która staje się jedną z palących potrzeb chwili i sprawie pomocy kolegom z kontynentu znajdującym się w nader ciężkich warunkach. Uwagę zwracał także problem, jaki powstanie w drugiej połowie roku przez ostateczne rozładowanie PKPR, stanowiącego oparcie dla znacznej części dziennikarzy zrzeszonych na terenie Wielkiej Brytanii.

W skład nowego zarządu, poza wchodzącymi z urzędu prezesami syndykatów, weszli p. B. Wierzbiański jako prezes i pp. Bzowiecki, Łada-Bieńkowski, Mossin, Onyszkiewicz, Romiszewski, Wasiutyński i Żarnowski. Delegatem na Szkocję wybrano ponownie p. W. Czereśniewskiego.

Dnia 13 stycznia odbył się w "Orle Białym" "opłatek" dziennikarzy z udziałem zaproszonych gości ze sfer rządowych.

Ustępujący prezes, płk Bogusławski pozostał w nowym zarządzie dla dopomożenia w sprawach kontaktów międzynarodowych i społecznych.

NOWY ZARZĄD FUNDUSZU OŚWIATY POLSKIEJ ZAGRANICĄ

Zarząd, wybrany na Walnym Zgromadzeniu Funduszu w dniu 18 grudnia 1947, na posiedzeniu w dniu 8 stycznia 1948 ukonstytuował się jak następuje: prezes dr Zygmunt Nagórski, wiceprezes prof. Tadeusz Brzeski, skarbnik Władysław Donigiewicz, sekretarz Tadeusz Łada-Bieńkowski. Zarząd z wielkim żalem przyjął do wiadomości oświadczenie prof. Brzeskiego, że ze względów natury czysto osobistej nie może objąć stanowiska prezesa. Prof. Brzeski nie odmówił jednak swego czynnego udziału w pracach zarządu.

LISTY DO REDAKCJI

(Odpowiedzialność za poglądy wyrażone w listach do Redakcji ponoszą wyłącznie ich autorzy)

O RODZICACH I DZIECIŃSTWIE DMOWSKIEGO

Szanowny Panie Redaktorze,

Dopiero dzisiaj wpadł mi w ręce numer październikowy "Myśli Polskiej" z artykułem W. Wasiutyńskiego "Polski Problem Społeczny".

Tak się złożyło, że o dzieciństwie Dmowskiego wiem sporo. Wiem z jego własnych ust. Kiedyś na długim spacerze, jaki z nim po ulicach Warszawy odbyłem, zakończonym zjedzeniem z nim kolacji w restauracji Krzemińskiego przy ulicy Wierzbowej, dane mi było usłyszeć od niego szczegółową opowieść o jego wspomnieniach dzieciństwa. Nie wszystko z tej opowieści spamiętałem. W każdym razie, rzeczy istotne wyglądają jak następuje.

Rodzina Dmowskich jest rodziną mazowieckiej szlachty zaściankowej i wywodzi się ze wsi Dmochy-Rozumy (istnieje na Mazowszu kilka wsi drobnoszlacheckich, noszących nazwę Dmochy; wywodzą się z nich prócz Dmowskich, także i Dmochowscy). Dziad Romana Dmowskiego nie należał już jednak do szlachty drobnej. Dzierżawił on duży klucz majątków gdzieś na Podlasiu i społecznie oraz wykształceniem należał raczej do szlachty średniej, to znaczy do ziemiaństwa. Zrujnowały go postoje wojsk w wojnach napoleońskich. Przez czas pewien trzymał się jeszcze na powierzchni, w końcu jednak zbankrutował i przeniósł się do Warszawy, gdzie w wielkiej biedzie umarł. Jego syn — ojciec Dmowskiego — miał wtedy 13 czy 14 lat. Zaczął pracować na chleb jako robotnik, brukujący ulice. Musiał z tej pracy utrzymać siebie i ciężko chorą matkę, która żyła jeszcze po śmierci męża, nie pamiętam jak długo, ale zdaje się kilka lat. Ów fach brukarza pozostał jego źródłem utrzymania aż do śmierci. Z czasem dorobił się nieco. Z robotnika stał się majstrem i wykonywał roboty brukarskie na własny rachunek. Ożenił się późno i Roman Dmowski jest jednym z młodszych jego dzieci. Już jako człowiek dojrzały kupił sobie chałupę i kawałek gruntu nad Łachą Skaryszewską, za dzisiejszym Parkiem Skaryszewskim i ubocznie zajmował się też trochę rolnictwem. Dzierżawił też rybołóstwo w Łasze Skaryszewskiej. Roman Dmowski w młodych latach nieraz ciągnął niewód z rybami, a także kosił, a bodajże i orał.

Do jakiej warstwy społecznej należał robotnik brukarski, który pochodzi z rodziny ziemiańskiej, który w dzieciństwie uczęszczał zapewne do szkół, którego ojciec umarł, gdy miał on lat 13 czy 14, a matka dużo później? Czy do ludu? Ekonomicznie, niewątpliwie tak. Stosunkami, sferą znajomości w jakiej się obracał itp., zapewne również. Ale atmosferą kulturalną, widnokręgiem intelektualnym i ideowym? Jest to niewątpliwie coś o wiele bardziej skomplikowanego. Zgodzi się z tym zapewne każdy, kto spróbuje sobie wyobrazić kim będzie jakikolwiek znany mu, 13 czy 14-letni chłopiec z inteligencji, jeśli rodzice mu umrą i jeśli będzie musiał wziąć się, by nie zginąć, do pracy fizycznej.

Ojciec Romana Dmowskiego był człowiekiem nieprzeciętnym. Był to człowiek rozumny i wielkiego charakteru. Odznaczał się nadzwyczaj gorącym patriotyzmem, żarliwą religijnością oraz wielką surowością obyczajów. Był to człowiek nieskazitelnej prawości i wielkiego obowiązku. Odznaczał się dobrocią, przy zewnętrznych pozorach szorstkości. Wychowywał dzieci surowo i w wielkim rygorze. Uważał na należyte wychowanie synów, podczas gdy wychowanie córek zostawiał raczej matce. Wpajał w synów miłość ojczyzny, prawowierność katolicką i zasady nieskazitelnej uczciwości, poczucie obowiązku i skrupulatność sumienia. Roman Dmowski żywił dla niego bezgraniczną cześć. Powiedział mi, że jednym z najmocniejszych, podświadomych motywów, które go w życiu pchały do ofiarnej i bezinteresownej służby ojczyźnie, było to, że ojciec, zwykle małomówny i więcej niż skąpy w pochwałach, powiedział kiedyś do starszych braci Romana, gdy mu dokuczali: "Dajcie mu spokój, on nie jest taki, jak myślicie; jeszcze się kiedyś przekonacie: Polska będzie z niego miała pożytek". Roman Dmowski całe życie, mimo woli, w postępowaniu swoim powodował się myślą, że musi być godny tej opinii, jaką ojciec miał widocznie o nim i w owych skąpych słowach wyraził.

Dzieje matki Romana Dmowskiego były zadziwiająco podobne. Ojciec jej był dość zamożnym mistrzem garbarskim, posiadał spore przedsiębiorstwo garbarskie typu rzemieślniczego. Rodzina matki Romana Dmowskiego była starą rodziną mieszczaństwa praskiego. W rodzinie tej przechowywana była pamiątka po rzezi Pragi: obraz pobożny, uszkodzony przez rosyjskiego żołnierza w czasie rzezi. Widziałem ten obraz na kilka lat przed wojną u ostatniego z braci Romana Dmowskiego, zmarłego na rok, czy dwa lata wcześniej niż on, którego tuż przed jego śmiercią raz jeden wraz z Romanem Dmowskim odwiedzałem w jego kamieniczce na dawnym ojcowskim gruncie za Łachą Skaryszewską (koło fabryki Wedla). Rodzina matki Romana Dmowskiego była również w jakiś sposób związana tradycjami z mieszczaństwem miasta Torunia — nie pamiętam już w jaki. O ile po ojcu Roman Dmowski odziedziczył patriotyczne tradycje środowiska ex-szlacheckiego, o tyle po matce odziedziczył tradycje starego, autentycznie polskiego, drobniejszego mieszczaństwa.

Ojciec matki Dmowskiego zbankrutował ze swoją garbarnią w wyniku kryzysu, jaki dotknął rzemiosło wielu krajów w wieku XIX na tle rozwoju nowoczesnego przemysłu o skoncentrowanym kapitale i ulepszonych maszynach. Wkrótce potem umarł ze zmartwienia. Matka Dmowskiego miała, jeśli mnie pamięć nie myli, lat jedenaście, gdy zaczęła, jako sierota, pracować na chleb. Pracowała jako robotnica, szyjąca rękawiczki. Tych dwoje ludzi o tak podobnym losie, tych dwoje robotników pochodzących ze zdeklasowanych rodzin ongiś zamożniejszych i wykształconych, połączyło się potem z sobą, stwarzając gniazdo rodzinne o niezwykle wysokiej atmosferze patriotycznej i moralnej — gniazdo, w którym narodził się człowiek tej miary co Roman Dmowski.

Łączę wyrazy wysokiego poważania.

JĘDRZEJ GIERTYCH

PAMIĘTAJ,

że "Myśl Polską" czytają rodacy we wszystkich skupiskach polskich rozsianych po świecie,

że przepisy dewizowe większości krajów nie pozwalają czytelnikom przekazywać prenumeraty,

że wobec tego pokrycie kosztów wydawnictwa maleje.

Jeżeli doceniasz wagę istnienia i rozwoju naszego pisma, opłacaj regularnie prenumeratę oraz zasilaj Fundusz Wydawniczy "Myśli Polskiej".

KOMUNIKAT ZARZĄDU KOŁA LONDYŃSKIEGO STRONNICTWA PRACY

Szanowny Panie Redaktorze,

Na łamach "Polski Wiernej" (Paryż) Nr 136, z dnia 11. I. br. ukazał się wywiad z p. Sulimierskim.

Zarząd Koła Lond. Str. Pracy prostuje i wyjaśnia, że: 1) P. Sulimierski nie reprezentuje opinii ani światopoglądu Str. Pracy. 2) P. Sulimierski na skutek niewyliczenia się z pieniędzy społecznych i za rozbijacką działalność w chrześcijańskim ruchu społecznym, został ze Stronnictwa Pracy — wykluczony. 3) W powyższym wywiadzie p. Laryssa — Sulimierski członek Zarządu Koncentracji Demokratycznej w Londynie — apoteozuje osobę p. Mikołajczyka w kilku miejscach. Cytujemy dosłownie: "Witamy serdecznie prezesa Mikołajczyka, życząc mu, aby *osoba jego i działalność* stały się krokiem naprzód w kierunku skonsolidowania polskiej emigracji i wyleczenia jej z błędów, umożliwiających wykonanie zadań przed nią stojących". 4) Uważamy, że to jest wyraźne uznanie linii Jałty i czwartego rozbioru Polski. 5) Nie chcemy wierzyć, że Koncentracja Demokratyczna przeszła na linię p. Mikołajczyka. 6) Zarząd Koła Lond. Stronnictwa Pracy za akcję p. Sulimierskiego nie ponosi żadnej odpowiedzialności, co niniejszym podaje do publicznej wiadomości.

Sekretarz mgr E. Tuczapski Prezes S. Jóźwiak

Treść *Nr* 119 (*Rok* VIII, *Nr* 2) "Myśli Polskiej"

"MYŚL POLSKA"

założona w 1941 r. w Londynie, ukazuje się raz w miesiącu.

Redakcja i Administracja: 8 Alma Terrace, Allen Street, London, W.8. Tel. WEStern 1797.

Prenumerata półroczna (6 numerów) 12s. lub $4.

Prenumerata roczna (12 numerów) — £1. 4s. 0d. lub $8.